

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TAJEMNICA LASU

według opowiadań żołnierzy, oficerów i dowódcy 11-ej dywizji

Wojna polsko-niemiecka pozostała do dziś tajemnicą. Wiadome są wyniki walk, lecz już z ich przebiegu znane są tylko daty i nazwy oficjalne. Wszystko co stanowiło wewnętrzną treść kampanii — ośmieliłbym się powiedzieć: jej dusza — czeka jeszcze w ukryciu, by objawić się w pełni przed światem.

Nie była to wojna jednej sztuki wojennej z drugą, wodza z wodzem, techniki z techniką. Przeciwnie: Niemcy stawiali nasz organizm obronny straszącymi kleszczami, lotnictwem i bronią pancerną, zanim jeszcze zdążył się dźwignąć i stanąć do walki. Łączność i jedność naszej armii stały się pierwszym łupem wroga a zniszczenie ich przesądziło o losach wojny. Żołnierz pozostał sam i uparł się walczyć mimo wszystko.

W samotności jego było coś z powagi antycznej. Wojna, prowadzona przez odosobnione oddziały, pulki i dywizje, stała się przedewszystkiem walką poszczególnych ludzi. Dowódca dywizji doznał tak jak musiał się bić żołnierz — polegając tylko na sobie, nie licząc na żadną pomoc. Wojna ta nie wiązała się w planowe operacje, każde spotkanie było rozstrzygnięciem. Nie prowadził jej wódz według swego instynktu. Nie ożywiało jej pragnienie zwycięstwa lecz pogarda

zadanie, cofała się w dzień aby walczyć w nocy, niezłomna w boju lecz coraz węższa liczebnie i w coraz ciśniejszym kręgu osaczona przez wroga. Nie poddała się jednak nigdy. Gdy walczyć już nie było czym, raczej nie było komu, ostatnią garść żywych, pozostała z tej niepokonanej gwardii, przeszła pół Europy, z Polski do Francji, by odłożoną broń związać z powrotem do ręki.

Myślę o 11-ej dywizji wojsk polskich. Przyszły badacz opisie jej walki od początku do końca, ustali według źródeł wszelkie szczegóły. Opowiadanie niniejsze powstało z innych zamierzeń.

Na linii krwawego pochodu 11-ej dywizji, znał Wisłoki pod Lwów, jest jedno pobojujowisko, które ukrywa tajemnicę dawną już godną odświeżenia. Bo powtórzmy raz jeszcze, że cała wojna polska była i jest dotychczas wojną nieznana. Najedźca zagarnął Kraj i zamknął mu usta. Uczestnicy walk nie mogą powiedzieć nic coby doszło do uszu świata. Niemcy, jak im się zdaje, orzekli o tej wojnie wszystko, za siebie i za Polaków. Milcząca Kraj nie może sprostować fałszów. W poczuciu prawdy jest tak samotny, jak samotny był żołnierz na polu bitwy. Czekając aż dojdzie do słowa.

Pobojujowisko, o którym mowa, ukrywa gorzką dla Niemców prawdę. Gdyby nie żołnierz idący z Polski do Francji, być może nie wyszłaby ona poza lasy, gdzie zasyłała się pospół z ludźmi. Lasy sojusznicy

wzniesionym przez natłok wojsk, wbijających się pod serce Kraju. Bitwy te, przeważnie zwycięskim pochodem, odezwą się jeszcze głosem prawdziwym. Żołnierz, który walczył na północ Polski, przenikał rzadziej poza granice Kraju i nie zdołał powiedzieć o sobie więcej niż szumia o nim sosny i jałowce przy bratnich mogiłach.

W lasach janowskich trudno było jednak przejść przez pobojujowisko, pozostawione przez wojska polskie, i nie potknąć się o dokuczliwą przeszkodę. Stały tam po wsiach szkielety setek czołgów, dział, samochodów. Czarne szkielety żelastwa zjedzonego przez ogień. Nieprzebrany a zniszczony sprzęt zalegał całe okolice. Obok leżały trupy wyklutych żołnierzy. Tę milczącą załogę pola bitwy trzeba było obliczać także setka po setce. Padła tam w ciężkich bojach w nocy z dn. 15 na 16 września. Na mundurach poległych Niemców widniały czarne wstążki z białym obwodem, specjalne oznaki doborowych oddziałów. Na nich wyraźny napis. Trudno nie zwrócić uwagi...

A jednak cały ten cmentarz ludzi i maszyn nie doznał zasyfowania, by oko nie mieknie dostrzegło go wśród polskiej jesieni. Nikt z Niemców nie wspomniał o tem pobojujowisku, nikt nie nazwał jego imienia. Żadne pióro nie mieknie nie powtórzyło napisu ze wstążki powalonej krwią. Pycha odebrała im rozum.

Trzeba było pomocy żołnierza polskiego. Tym razem on musiał świadczyć za Niem-

którą właśnie organizował. Stał kwatery w P., małym miasteczku francuskim. Lubili go żołnierze, cenili oficerowie francuscy, przydzieleni do jego oddziałów. Na całą nową dywizję promieniła sława dawnych bojujowisk, ucieleśniona w tym wysokim, opanowanym a bardzo żywym człowieku. Miał w sobie rodzaj powagi, w którym obok spokoju czuć było drapieżną siłę. Jego zielone oczy, rozstawione szeroko, patrzyły ze szczególnym napięciem. Spiczasty nos dodawał twarzy jeszcze więcej ostrości.

Chwalił własnych żołnierzy, to rzecz zbyt pospolita, — mówił mi, — ale nie docenił ich bitności, oznaczałoby to samo co przekreślić istotę tej wojny. Każdemu patronował w niej duch franc-tirerów a nad wszystkim unosiło się coś z naszych powstań. Biliśmy się mniej więcej tak jak w 1863 roku. Przeszło pół wieku przewagi a nieprzyjaciela... Niestety, inaczej się nie dało...

Istotnie, gdy dywizja rozciągnęła się na szosie wiodącej z Przemyśla do Lwowa, w terenie równym jak stół, i gdy nadleciały nad nią niemieckie bombowce i samoloty nurkujące, przewagę tę ocenić można było na stulecia. Działo się to dn. 14 września, po ośmiu dniach bitew i potyczek, przepłatanych nocnymi marszami. Wojsko cofało się z zachodu na wschód, dążyło na pomoc Lwowowi. Żołnierze, zmęczeni, niewyspani, zarośnięci

brzołkami, nie mieli czasu na odpoczącie. Maszerowali tak cały dzień, dn. 15 rano szli przednią kolumną do Sądowej Wiszni, niewielkiej miejscowości na szlaku Przemyśl—Lwów.

Był to okrutny dzień nieustannego padania na twarz, wpierniaci w płytkie brzoły, nagłych uskoków w rów i w każdy najmniejszy załom terenu. Tylko szczęście chroniło żołnierza od kul i bomb rozsypanych z powietrza. Kto go nie miał, zostawał przy drodze, pod niewysokim wzniesieniem, bo głębiej kopac nie było czasu. Prządło dookolicznie słońce, z wyschniętych dróg i pół podnosił się kurz, nieznośna pogoda sprzyjała najedźcą. Marsz ten składał się ze śmierci i ze śmiertelnego znużenia.

Gdy dywizja doszła do Sądowej Wiszni, skierowano ją w lasy na północ, by schroniła się od nalołów i chwyciła oddech. Sztab zasiał do narad w miasteczku.

Osobliwa była to praca wśród wylatujących szyć i walących się ścian. Narady prowadził gen. Sosnkowski. Trzy dni przedtem objął on w Przemyślu dowództwo tego co na początku wojny nazywało się frontem południowym. Teraz miał do rozporządzenia dwie dywizje: 11-a i 38-a. Pierwsza była okaleczona w bojach ale zahartowana i niepokonana, druga dotknięta wojną tylko podczas transportów, lecz niedoświadczona w walkach. Do nich dołączyły się jeszcze szczątki rozbitej 24-ej dywizji.

11-a dywizja rekrutowała się z Podkarpacia i składała się z 48-go pułku ze Stanisławowa, 49-go z Kołomyi, który stanowił trzon tej gwardii, i 53-go ze Strzyży. Pułki były dubatalskie. Trzeci batalion każdego z nich, czyli w sumie siła równa pułkowi, przepadała dla dywizji już w pierwszych dniach wojny. Oddziały te, bijące się pod Bohnią i Wiśniczem w armii gen. Szyllinga, zostały przy tamtem dowództwie i do macierzystych formacji nie wróciły nigdy. Duży odsetek, bo około 30%, stanowią w dywizji Ukraińcy. Różnica między żołnierzami nie było żadnej. Zespół ich nadludzki wysiłek, zrośli się w pokrewieństwie najściślejsem, bo w braterstwie broni.

Na odprawie okazało się, że droga do Lwowa jest odcięta. Pod Gródkiem Jagiellońskim, wśród stawów tamtejszych i mokradel rzeki Wereszycy, zaległ nieprzyjaciół. By zdążyć z odsieczą, postanowiono...

drogą, zatoczył duży łuk na północ od szosy, okrzyk bagna wereszycy i wybił sobie przejście przez lasy janowskie i brzołkowickie.

Odprawa skończyła się w południe. Akcja miała rozpocząć się możliwie najwcześniej, przed wieczorem. Główne natarcie powierzono gwardii, 11-ej dywizji.

Położenie wojsk przedstawiało się zgola fantastycznie. Niemcy okazywali je ze wszystkich stron i zaciskali pięści coraz bardziej. Beznadziejność sytuacji nie była dla nikogo tajemnicą. W ciągu dnia przejęto rozkaz niemiecki, który określał dokładne tereny naszej koncentracji i donosił, że „dwie dywizje polskie są ściśle otoczone”. Niemcy szukali nawet porozumienia z okrażonymi. Było jeszcze widno, gdy przed jedną z placówek ukazał się parlamentariusz: oficer i dwu żołnierzy z białą chorągwią. Oficer zapropo-

nował kapitulację, by uniknąć przelewu krwi, ale dowódca naszej kompanii nie chciał prowadzić żadnych układów i przepędził posłów. Doniósł tylko o wszystkim do sztabu.

Sporo czasu zajęły wstępne przesunięcia wojsk. 11-a dywizja musiała zmienić ugrupowania, wykreślić front o 90° z zachodu na północ. Na lewym skrzydle stanął pułk 49-y, idący na Muzyłowice, obok niego na prawo — 48-y, z kierunkiem na Rogóźno; za 49-ym pułkiem stanął w odwodzie 53-i. Dalej na prawo uszeregowano się oddziały 38-ej dywizji, które miały związać przeciwnika nad Wereszycą.

Pierwsze walki zaczęły się około godz. 16. Po skwarnym dniu zachmurzyło się nagle i spadł krótki deszcz, ale nie przyniósł upragnionej ulgi. Lotnicy niemieccy nie przewalili lotów, wysoka spadała na czoły przeloty, rzucali bomby w gęstwinie. Pierwszym zadaniem dywizji było wypędzić Niemców z północnej części lasu, który leżał na linii jej pochodu. Utrudniony nadludzkim piechur, który miał w nogach setki kilometrów marszu a w nerwach setki godzin napięcia, poszedł raz jeszcze naprzód. Żadnych odprysków, dezertorów czy maruderów.

Starcia były krwawe, przeważnie wręcz. Biegło się od sosny do sosny, od pnia do pnia. Drogi torowały granat i bagnet. Za czołowych oddziałami posuwały się od razu artyleria. Działy i czołowe

przejazdy przez gąszcz, zasypywali wyrwy. Niemcy ostrzeliwali z dział całą przestrzeń ataku. Porucznik B. ze swym plutonem artylerystycznym zajeżdżał pierwszy na brzeg lasu i natychmiast otworzył ogień z obu dział. Kartace szły jak z lufy karabinu; na 100 i 150 kroków bily w Niemców, uciekających przez zarośla. Koło godz. 18 zadanie było wykonane, wojska stanęły na skraju lasu.

Rozciągały się stamtąd niewielkie polany pełne powabu jesieni, lilijowe od wrzósów, zamknięte na widnokręgu pozycjami niemieckimi. Żołnierze widzieli je gołem okiem. Były to zwykłe okopy, złoty pas pod granatowym niebem. Doraźnie zorganizowana obrona. Rozpoznał ustawiono jednak, że pozycje te obejmowały cały zasięg dywizji; wszystkie wzgórza, lasy i okoliczne miejscowości były zajęte. Obsadziła je w silnej masie piechota zaopatrzona w artylerię.

Bataliony mogły teraz chwilę odpasać. Działy Niemców umilkły. Słychać było pojedyncze strzały karabinowe, to drugi rzut likwidował pogubione oddziały niemieckie. Słońce już zaszło, nawiał nagle chłód jesienny, płynęła woń siana i lasu. Żołnierz rozprzął kości, zawiązał się w płaszcz i zapadał w raptowny sen. Gdy ktoś nagle szarpnięty otwierał oczy, patrzył dokoła wzrokiem nieprzytomnym ze znużenia. Nieznany teren pokrywał się popielatymi cieniami. Za tę zasłonę odchodziła złota linia okopów, zarysy domostw i lasy czerniejące w oddali. Zmierzchnął, tajemnicza przestrzeń gubiła się w mroku.

O godz. 2 oba pułki podniosły się do natarcia. Panowała nieprzenikniona ciemność. Jak nakazywała nowa sztuka, wzięto sobie za oś ataku jedną z drógzek biegnącą przez „no man's land” między pozycjami. Dawało to pewność, że w czasie walki nie zmyli się kierunku.

Wojska ruszyły naprzód swoim sposobem, według własnej szkoły. Szły w gęstych tyralajach, lokcie w lokcie, żeby nie pogubić się w ciemnościach. Karabiny rozładowano, żeby się wzajemnie nie wystrzelać. Na karabinach bagnety.

Odległość była niewielka. Gdzieś tam zaważyła się tak, że żołnierz nasz podnosił się o 150 kroków przed lufą niemiecką. Byli więc tuż tuż przed sobą. Poszli możliwie najciszej, najskryciej.

— Stałem wtedy na skraju lasu wraz z odwodem, — opowiadał mi dowódca dywizji, — w tem miejscu, skąd wyszedł 49-y pułk. Byłem o tyle naozycznym świadkiem natarcia, o ile było co widać w przestrzeni. Ciemność powiększała napięcie nerwowe. Niemcy otworzyli ogień na całej linii. Karabiny maszynowe spęły nieprzerwanymi serjami. Artyleria biła na krótki dystans. Widać było bliski wystrzałowy i wybuchowy. Na szczęście ogień nie był celny. Zdawało się, że mija wieczność aż doszedł nas gromadny okrzyk: „hurra!”. Potem strzały zaczęły rzędnąć i przycichać. Mogłem odetchnąć. Nasi przeszli, wzięli pozycje. Gdzieś tam zapalały się domostwa. W ich ruchomym świetle przebiegały jakieś postaci. Wkrótce dostaliśmy meldunek od

zginąć, nikt nie był gotów jej wygrać. Samotny żołnierz musiał wystarczyć sam sobie. Tworzył więc własną sztukę wojenną, a sprawiedliwy dziejopis oceni kiedyś jak bardzo zasłużył na własną historię.

Strzelec polski zrozumiał odrazu, że największym jego wrogiem jest czołg. Nikła osłona, która posiadała, nie mogła uchronić go przed pełznącą zewsząd lawą żelastwa. Dzięki przeciwnicem walki mógł rozbić pięć i dziesięć czołgów, granatem zapalił najbliższe jadący, ale co mogło powstrzymać pochód maszyn, gdy rozciągnął się w wielomilowej przestrzeni? Strzelec zrozumiał, że jedynym jego sojusznikiem w tej walce, prowadzonej na równinnej ziemi, jest las. Chronił się tam też dlatego, że w lasach uchodził oku lotnika, który wtedy strzelał i rzucał bomby na ślepo. Walcząc z przewagą, której nie mógł sprostać, oddał także, iż pogodny i przejrzysty dzień jesienny jeszcze bardziej wzmacniał przemog wroga, i wybrał dla siebie noc jako porę działania. W ciemnościach i wśród lasu krzepły jego siły i wzrastały szanse. Odbierał przeciwnikowi celność ognia, utrudniał ruchy jego maszyn pancernych, pozbawiał go pomocy samolotu. Spośród nieprzebranych zasobów uzbrojenia i wszystkich nieprzebranych osłon wywolywał i niejako zwałbiał ku sobie człowieka. Zdany na własne siły chciał się bić z przeciwnikiem zdany także na samego siebie. Chciał wyrównać niedobór swej samotności. Sztuką jego było uchylić się od sztuki wroga a spotkać się z nim oko w oko.

Wtedy żołnierz polski z uchodzącego rozbitka stawał się wojownikiem zdobywcą. Wtedy odosobnione oddziały, błędne pułki, pozbawione łączności dywizje szły do bitwy bez poczucia słabości. Wtedy mimo wszelkich upodzeń, mimo zmęczenia i głodu, osaczony zewsząd żołnierz pobitej armii sięgał po zwycięstwo.

Działo się to dlatego, że niósł z sobą broń, której nikt nie mógł sprostać. Jedyną sekretną bronią polską — pogardę śmierci.

Przeniknął odrazu jak należy jej użyć. W gęstym lesie, wśród ciemnej nocy, podczas której często budził się poto, by za chwilę zapaść w sen nigdy już nieznany, obmyślał jak należy walczyć. Rozładowywał karabin, nabijał nań bagnet i szedł do szturmu. Szukał żywego przeciwnika. Walczył z człowiekiem bez pomocy maszyn. Według sił jakie im dała natura. Sił ciała i ducha. Wtedy sekretna broń nie zawodziła.

Zdarzało się że dzięki tej metodzie walki dochodziło do zwycięstwa. Była wśród wojsk polskich dywizja, o której możnaby rzec, iż wygrała wojnę z Niemcami. Można tak powiedzieć dlatego, że ilekroć atakował ją nieprzyjaciół, zawsze odparła jego ataki, a ilekroć sama szła do natarcia, zawsze rozbiła Niemców. Gdyby wojna składała się z odosobnionych działań i gdyby można ją dzielić na samoistne zwycięstwa i klęski, rozstrzygnięcie byłoby niedwuznaczne. Z całosci akcji wynikało jednak, że zwycięska dywizja musiała się cofać.

Cofała się tedy, spełniwszy wyznaczone

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

KOLONJA POLSKA

Cmentarz jest banalny w tym samym stopniu co miasteczko X. Położony równo, inaczej niż romantyczne cmentarze Wilna albo niż bieżakowski, nie odznacza się niczym szczególnym, zwłaszcza że groby są tak mało zindywidualizowane jak i domy miasteczka. Jednakowe krzyże, jednakowe nagrobki i jednakowy napis „in loving memory”.

Tak samo jak na cmentarzach w Polsce, bawia się dzieci na cmentarzu w X. Czasem, co kilka dni, zdarza się, że pewien szczególny pogrzeb zabawę dzieci przerywa. To idą Polacy. Idą powoli, niosąc trumnę jedną, niekiedy trumien kilka, zależnie od tego ile ciał wyrzuci morze. Idą w helmach. Przed trumną widać wieńce i poduszki z krzyżem walczyńskim. Nad cmentarzem kołują samoloty, trumny zaś niosą oficerowie, sierżanci i żołnierze, trumny według wzrostu, nie według szary. Ciepła ciała, zatem siła, z jaką ziemia, w tym wypadku ziemia angielska, przyciąga ciało, jest duża, ciepła gatunkowy jeszcze większy. Nie dziwne, że, niosąc trumnę muszą zmieniać się co pewien czas.

Wtedy, gdy od bramy cmentarnej da się słyszeć miarowy odłós kroków, dzieci przerywają zabawę. Wiedzą, że nad grobem będzie salwa. Zatykają się przed strzałem i już orientują się doskonale w słowach komendy. Dzieciomina oczami i słuchem. Czasem są obecni także i starsi, którzy zresztą niepotrzebnie objaśniają dzieciom, czyż to pogrzeb. Dzieci i tak wiedzą wszystko. W spojrzeniu i starzych i dzieci wiele jest powagi, wiele zrozumienia.

Kolonja polska na cmentarzu w X., choć liczna, przecież jest także banalna pod względem zewnętrznym. Groby zupełnie pozbawione cech indywidualnych, krzyżów jednakowe, lakierowane na białe. Tyle tylko, że na każdym krzyżu, oprócz nazwiska i szary, widać charakterystyczną białoczerwona szachownicę, zatem znak ten sam, który mają polskie bombowce i pociski.

Niedawno na cmentarzu w X. zebrało się więcej ludzi niż zazwyczaj, otaczając polską kolonję. Była to uroczystość odsłonięcia krzyża kamiennego, który zdobią polskie orły lotnicze z brązu odlane. Ten krzyż nie jest banalny,

choć wzniesiono go także „in loving memory”. Groby może się zapadną, ale krzyż zostanie. Na zawsze. Poświęcono go w dniu, kiedy jeden z naszych dywizjonów otrzymał sztandar z Matką Boską, która w Ostrej święci bramie. Z tą Matką Boską cudowną, która cudem powraca Polaków na ojczyznę łono. Tymczasem przenosiła Ona będzie duszę uślesioną lotników naszych do Polski. Sztandar wyhaftowały Polki w Kraju i cudem przedostał się do Anglii, gdzie stanowiąc będzie skarbem przednią, jako własność i znak wspólny lotnictwa naszego. Każdy polski dywizjon przez pewien okres czasu strzeże ma tego sztandaru. I naodwrot, sztandar będzie strzegł lotników danego dywizjonu.

Ile jest naszych dywizjonów bombowych, ile poświęcono? Może te cyfry nie nadają się do druku, ale miłemu, że o lotnikach polskich więcej wiedzą dzieci bawiące się na cmentarzu w X., niż prasa angielska, niż członkowie parlamentu. Nie jest wykluczone, że te dzieci wiedzą o naszym lotnictwie grubo więcej nawet niż my sami. Bo i cóż my wiemy? Właściwie nie. Czy możemy dziwić się publiczności angielskiej, skoro i nam nie jest wiadomo, że polski wkład w ofensywę lotniczą na Niemcy wyraża się w cyfrze imponującej, wręcz olbrzymiej, mianowicie w 10%? Nasz wkład w obronę powietrzną tej wyspy można zamknąć w cyfrze takiej samej albo i wyższej.

Dzieci zatykają sobie uszy przed salwą. Pewni publicyści angielscy zatykają sobie uszy przed faktami. Nie chcą słyszeć. Są głusi. Gdy patrzą na groby w X., mój kompleks niższości zanika do reszty. Oczywiście, Anglia, to nie Francja. To kraj uczynliwych ludzi, kraj rycerski. Nie ich wina lecz wina propagandy naszej, że pewne fakty nie przedostają się do opinii publicznej, nie ich wina, że tym faktem nie umiemy nadać takiego ciężaru gatunkowego, jaki ma trumna z ciałem lotnika. Pogrzeby w X. odbywają się dość często, czyli byłaby okazja aby zaprosić takiego lub innego przedstawiciela prasy angielskiej. Nie mogąc przedstawić bomb rzucanych przez Polaków na Niemcy, polizyliby przynajmniej groby, więc te dziwną kolonję polską na cmentarzu w X. Zaisze, pouczająca byłaby to wizyta. Poucz-

ająca i „propagandowa” w najwyższym stopniu.

Możnaby tę wizytę uzupełnić niektórymi szczegółami, wyjaśnić zatem, skąd pochodził ów lotnik. Niekiedy z nich urodził się na Śląsku, na tym Śląsku, który pewni publicyści angielscy do dziś dnia uważają za szczerze niemiecki. Można by również wskazać groby tych lotników, którzy urodzili się na terytorium „korytarza”. Albo we Lwowie. Albo w Przemyśle czy w Białymostku. „Sunday Dispatch” z dn. 6 lipca b.r. powiec swych czytelników: jak należy wyrażać „Russian place names”, wymieniając m. in. Przemyśl, Białystok, Luck i Lwów, nadto rzeki „Dwina” i „Prut”. Gdyby autor artykułu p.t. „The Girls in the Kremlin” zwiadał polską kolonję na cmentarzu w X., jego wątpliwości na temat naszego „rosyjskiego” nazwiska zmniejszyłyby się do zera. Nawet nie „może”, lecz z wszelką pewnością, ponieważ Anglię są ludźmi do brzoły, napędzają woli. Jedynie nam brak nie tylko dobrej lecz wogóle woli, aby informować o wszystkim tak jak trzeba. Zmarłowawość doszczętnie nasz wkład wrośniętą w wojnę, marujemy także i wkład aktualny.

Ziemia angielska napewno jest ziemią wdzieczną. Jeśli w Missolonghi nie widać nigdy kwiaty na grobach polskich, nie widać napewno i na polskich grobach cmentarza w X. Ale to jeszcze nie przybliża do Polski, musi groby musi nas przybliżyć, nasze argumenty w „każdej” rozmowie. To nie są groby, jak np. grób kapłana Meyznera, na którego pogrzebie Słowacki modlił się do Boga, prosząc, aby Polaków widziano gdy konają. To nie groby Słowacki widziano gdy konają. To są groby ryckie, w których jest diametralnie inna niż w „każdej” rozmowie. Nikt, absolutnie nie może tych ryckich, gdy „konają”. Wiadom, że zgonu jest morze, ziemia, słońce. I Bóg. Natomiast idzie o to, aby widziano i wiedziano, że oni walczyli, że zwyciężają, że są.

Podczas tej wizyty odsłonięcia krzyża na cmentarzu w X. byłby „apel nieobecnych”.

W NUMERZE:

Kazimierz Wierzyński: Tajemnica lasu. Według opowiadań żołnierzy, oficerów i dowódcy 11-ej dywizji. — Zygmunt Nowakowski: Kolonia polska. — Ignacy Wieniewski: Szkolnictwo w przyszłej Polsce. — Skarbnica Polska. — Stefan Zeromski: Mantua. — Adam Mickiewicz: Czasy. — Ballada ukraińska. — Bolesław Prus: Milknące głosy. — Zbigniew Grabowski: Od Krebsa do Crippsa. — Wacław Solski: Szewjk o przymierzach i sojuszach. — Krzysztof Eydziatowicz: Propaganda radjowa w Niemczech. — „Metody kadzenia”. — Alfa: Rozmaitości. — Godnie i meo. — Wielka Brytania, Sowiety, Polska. — Polska a Czechosłowacja. List do Adama Romera. — P.E.N. Chłuby w obronie uwiecznionych pisarzy polskich.

REDAKCJA

36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1
Telefony: MUSEUM 2346 i 2563

ADMINISTRACJA

9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLBORN 0868

PRENUMERATA

kwartalnie

w Anglii 6s. 6d.
w innych krajach \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

dowódcy 49-go pułku i szkolei zameldowałem o sukcesie gen. Sosnkowskiego. Mogła być godz. 23...

Walka potoczyła się dalej. Tyraljery poszły poza okopy, w głąb terenu, między domostwa i wsie, i bagnetem przetrząsały noc, niby wór napelniony ciemnością. Sztaby wiązały porwane połączenia i odwarzały sytuację gmatwającą się śród nocnych przesunięć nie do odgadnięcia. 48-y pułk nie dawał o sobie wiadomości. Szukano go pod Rogóżnem, potem pod Jaworowem, sam dowódca dywizji siadł do łazika i pojechał na poszukiwania. 38-a dywizja, sąsiadująca z 11-a, zasłała w zdradzieckie bagna Wereszyce i zapadła w ciężki bój z okopanymi tam Niemcami. Noc huczała z wszystkich stron od wystrzałów, żołnierz i dowódca przenikali ją raczej wystrzosem ciciem, niż busołą i wywiadem.

Ale nie zawiódł ich nerw śródnocnej walki. Nie powstrzymał ich armii szaleńców przeciwnik. Szli od szturmu do szturmu, od ciosu do ciosu, ochlastani krwią upartego wroga, ślepi i głusi od wysiłku. Aż wreszcie taran ich obalili wszelki opór i zdawało się, przebił nawet przeniknącą noc.

Ciemność poszarzała i zaczynało się już rozwidniać, gdy 11-a dywizja owładnęła miejscowościami, które zasłużyły na to, by nazwy ich nie zaginęły w polskiej pamięci. Są to wsie: Muzyłowice, Mogiła, Czarnokońce, Nowosiółki, Przybice, Bruchnał i kilka drobniejszych, których nawet niema na mapie.

Tam kryła się tajemnica lasów, niewyjawiona przed światem. Pobojujowsko tych walk, ciągnące się od Muzyłowic, przedstawiało widok nieoczekiwany i niewiarygodny. Powtarzał mi to każdy z kim rozmawiałem, dowódca, oficerowie i żołnierze dywizji. Powracali do tego motywu wielokrotnie, śnać widok ten był dla nich naprawdę niezapomniany.

Na wiejskich uliczkach, w ogrodach, sadach, na pastwiskach, na placach przed kościołem, szkołą i karczmą, wszędzie gdzie było chociaż trochę wolnej przestrzeni, stał czołg przy czołgu, ciężarówka przy ciężarówce, cysterna przy cysternie, motocykl przy motocyklu. Ogromny park samochodowy, artyleria zmotoryzowana, amunicja ciężkich dział, ciągniki, transportowce i ambulanse, wszelaki nieprzełiczony sprzęt. Na stanowiskach baterie przeciwlotnicze z lufami wzniesionymi do góry, na wylotach przejazdów armatki przeciwpancerne. I tak wiesz po wsi. Był to łup olśniewający, bogactwa nieprzebrane. Przechodzące wojska przystawały na ten widok, żołnierze dotykali maszyn rękami, jakby nie wierzyli własnym oczom.

— To mogło się tylko przysnąć — powiedział mi jeden uczestnik tych walk. — Wszystko świeże, bez zadraśnięcia, wprost spod igły. Same najnowsze modele. Ogarnęła nas dzika radość z tej zdobyczy.

Siadaliśmy na motocykle gotowiutkie do drogi, na szosie urządziliśmy szkołę kierowców.

— Ucz się, bracie, szoferki, — wołaliśmy, — będziesz jeździł w samochodzie jak król...

I zaczął się rozwozić o wojskach zmotoryzowanych, o wojskach pancernych. Wszyscy, od sierżanta do dowódcy dywizji, znali ich straszliwą siłę. Dywizja uciierała od nich najbardziej. Był to jej wróg najgroźniejszy, którego nie miała czym zwalczyć. On rozbił armię polską, roztrzącił jej porwane części, zepchnął je z otwartych pól bitewnych w lesne kryjówki. Teraz przeciwnik ten stał bezbronny przed żołnierzem lasów i nocy. Potworna, wraza siła milczała w obezwładnieniu. Posłuszna ręce ludzkiej, mogła obrócić swoje lufy w odwrotnym kierunku, służyć nowemu władcy. Prugar mówił, że na zdobyty materiał mógłby załadować całą dywizję i jechać naprzód. Wszystko było na miejscu, benzyna, sprzęt reparacyjny, ciężarówki do przewożenia wojsk. Niestety, brakło szoferów. Do sztabu wzięto kilka samochodów osobowych, do pułku kilka ciężarówek i motocykli. Co robić z resztą, pytali się wszyscy. Los niezwykłego lupu zapadł na odprawie z Sosnkowskim. Rozkaz brzmiał:

— Spalić, bo inaczej zniszczysz się nie da, i maszerować dalej. Odtułu nadchodzą Niemcy.

Trzeba było do tego specjalistów. Nadbiegli saperzy, z taborów przywołano kierowców. Ze szmat i podartych mundurow robili na poczekaniu kwadze do podpalania, odkręcali kurki cystern, rozbijali baki. Rowami przez wieś popłynęła benzyna. Oblewała wszystko — czołgi, ciągniki, setki samochodów i motocykli. Park artylerji i amunicji. Dwadzieścia ciężkich dział z lufami wzniesionymi do połowy lub jak na postoiu okrytych brezentem, z kapturami u luf.

Ze wsi ewakuowano wojsko, rannych i ludność z dobytkiem. W odległości pięciuset metrów, w kotlinie okolonej pagórami, wraz ze wschodem słońca otworło się piekło. Zapalone kwadze, rozrzucone ze wszystkich stron, wzniciły pożar na ogromnej przestrzeni. Zaczynał się on na samej ziemi, w kłębówkach czarnych dymów, a kończył się na podniebnych wysokościach straszliwymi wybuchami ognia. Pociści ciężkiej artylerji wylatywały w powietrze i rozrywały się w górze, naboje karabinowe trzaskali pod dymem i spod spodu podbijały go płomieniami. Huk wybuchów był podwójnie donośny, odbijał się od ściany lasów i wracał stamtąd grzmiając echem. Gdy wielkie jeziora pożaru połączyły się w jeden potop ognia a wschodzące słońce zalało niebo czerwienią, śmierć pokonanej potęgi musiała mieć coś z końca świata.

Jeden ze świadków zwierzał mi się z przejęciem:

— Zamarło we mnie serce. Myślałem o tem jak wspaniałe ale jednocześnie jakże okrutne było nasze zwycięstwo. Żeby zniszczyć przemoc wroga, musieliśmy palić własny kraj. Trudno, coś nam innego zostało. Byliśmy już oddawna bezwzględni i twardzi, żyliśmy jak półludzie, nie imaliśmy się nas żadne wzruszenie. Ale tym razem, niech pan pomyśli... Patrzyłem jak wylatywał w powietrze kościół, jak tam gdzie stały chałupy odsłaniała się po wybuchu czerwona golizna. Wieże, dachy i ściany frwały jak pióra, nie miały żadnego ciężaru. Do huku wystrzałów dołączał się ryk przerażonego bydła. Kozy biegały oszalałe po polach. Chłopki z dziećmi na rękach zanosiły się płaczem. Było tego dość nawet na zatwardziałe żołnierskie serce. Patrzyłem przed siebie ze ścisniętymi szczękami, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Tylko wstrząsy powietrza po każdej eksplozji były we mnie gwałtownym powiewem. Doprawdy, ostatkiem sił powtarzałem sobie: „Tak musi być, nie cofnij się przed niczem”. To była straszna wojna. Chodziło o to, by jak najdrożej sprzedać własną śmierć...

Pożar trwał cały dzień, ciemnoruda łuna widoczna była zdaleka. Rankiem nadleciały samoloty niemieckie i zaczęły bombardować miejscowości opuszczone już przez nasze wojska. 11-a dywizja poszła dalej, na nowe boje.

Dla całkowitego obrazu tych walk należałoby jeszcze podać wiele uzupełnień. Trzebaby wspomnieć jak wojska nasze zdobywały dwa razy Czarnokońce. Zastaliśmy tam już jeszcze bogatszy niż był w

Muzyłowicach, lecz według wyznaczonego zadania, po wyrzuceniu Niemców, minęły wieś i poszły naprzód. Gdy wysłano tam saperów aby spalił pozostawiony sprzęt, okazało się że Niemcy, nadchodzący styłu, zdążyli zająć Czarnokońce ponownie. Do rozprawy z tą odcieżą musiał stanąć nowy oddział. Płk. K. rozwinął szybko swój stryjski batalion i bagnetem przykuł Niemców do miejsca. Dalej już nie poszli, saperzy załatwili się z maszynami.

Podobny kres czekał rozbitków niemieckich, którym udało się wymknąć z Czarnokońców i Muzyłowic. Uciekając na Jaworów natknęli się na oddziały 48-go pułku, podążające z Rogóżna ku Przybici. Pochwyteni w potrzask, pokładli się pokotem pod ogniem naszych karabinów maszynowych.

38-a dywizja, działająca na prawem skrzydle, przechodziła inne koleje. Zapędziła się szerokim frontem w trudny teren wód Wereszyce, związała się zbyt silnie z przeciwnikami i nie nadążyła za 11-a dywizją. Śladem jej poszły tylko drobniejsze oddziały.

Tymczasem gwardja wdarła się w głąb lasów janowskich. Biła się nieustannie i krwawo, przedzierała się z trudem do Lwowa. Osaczona zewsząd, pod coraz cięższym naporem wroga, wykruszała się zwolna, aż doszło do tego, że pod Lelechowką do szturmu szedł kapelan obok generała i taboryci obok oficerów sądowych. Ale to są już inne dzieje.

Ja chciałem opowiedzieć tylko o przedziwnym zwycięstwie żołnierza uzbrojonego w bagnet nad przeciwnikiem uzbrojonym w stalowy pancerz. Chciałem przed-

stawić jak skończył się bój pod wsią Muzyłowicami, które w części zamieszkiwały — co za szczególne zrządzenie losu — kolonistami niemieccy, świadkowie pogromu najeżdźcy.

Do pewnego stopnia pozostało zagadką co robił zmotoryzowany korpus niemiecki na szlaku 11-jej dywizji. Nowiutki i nienaruszony sprzęt wojenny wskazywałby na to, że formacja dotychczas nie brała udziału w walkach. Stała postojem po wsiach i zażywała spoczynku, jakby nie przeczuwając uderzenia polskiego.

Brak wszelkich komentarzy ze strony niemieckiej utrudnia wyjaśnienie tej tajemnicy. Wolno nam jednak przypuszczać, że korpus nie znalazł się tam przypadkowo i bez celu. I wolno snuć dalsze domysły w związku z ogólną sytuacją wojny.

W czasie gdy 11-a dywizja przedzierała się ku Lwowowi, miasto atakowały już wojska niemieckie, a doraznie zorganizowana obrona polska rozbiła pierwsze czołgi na ul. Grodeckiej. Niemcy spodziewali się łatwej zdobyczy i liczyli, że zajmą miasto za pierwszym uderzeniem. Tymczasem Lwów bronił się golemi rękami sześć dni, póki od wschodu nie otoczył go bolszewicy.

Wiadomo, że Niemcy stosują po każdym zwycięstwie staranie przestępczy i przemysłowy ułożony protokół triumfu. Do szybko oczyszczonych od nieprzyjacielskich miast wkraczają wyswieżone wojska, blyszczą przepychem swej broni, przewalają się w nieskończonych paradach. Ten pokaz siły nie jest tylko popisem reżyserji defiladowej, ma jeszcze inne znaczenie: przylatcza tubylców i dodaje pewności najeżdźcy.

Nie wiem czy się pomylę, jeśli wyrażę przypuszczenie, że korpus, który padł pod ciosem 11-jej dywizji, miał do odegrania właśnie tę rolę. Miał wjechać świeżutki, w blasku nowych, nieużywanych maszyn, do podbitego miasta i wołać ze środka ulic:

„Patrzcie, jak nietknięty przeszedłem przez zapory waszych wojsk, rozbitych w żalosne szczątki. Patrzcie, jaką potęgę roztaćcam przed wami, którzy jesteście zdani na moją łaskę i nielaskę”. I miał ciągnąć w wielokilometrowym pochodzie, w nieprzeliczonym bogactwie, pysznie i niedosięgle. Jak w wielkim marszu zwycięstwa, jechać miał czołg przy czołgu, ciężarówka przy ciężarówce, cysterna przy cysternie, motocykl przy motocyklu.

Wolno sądzić, że takie a nie inne było zadanie korpusu, który schowany w lasach czekał aż będzie miał wolny przejazd na defiladę we Lwowie. Tymczasem niespodziewanie przecięto mu drogę. Wszystko co miało uświetnić tryumf, spoczęło na głuchych cmentarzach. Co miało nasycić pychę, zapadło się w nicotę. Niemcy zagrzebali te kłękę w lasach i przykryli ją wstydliwym, niechlebnym milczeniem.

Albowiem każde słowo o niej byłoby potwierdzeniem polskiej bitności.

Nie godzi się jednak mieć pamięć tak stosowaną, jak Niemcy, i nie pamiętać, że przeciwnik pokonany w lasach pod Lwowem był się dziennie. Straty nasze miastety świadczyły dobitnie, jak bronił on potęgi swego uzbrojenia, jak nie chciał ustąpić z atakowanych wsi a nawet spoza pojedynczych maszyn. Opór ten okupili Niemcy przerażającą ilością poległych. Wojska nasze, idące w drugim rzucie, musiały u wiejskich wylotów brodzić ostrożnie, by nie stapać po trupach. W rozprawie tej żadna ze stron nie dawała pardonu.

Młodziutki, uśmiechnięty kapral Gn. opowiadał o tych walkach bez zmrużenia powiek. W pół roku po nocach janowskich, śród ciszy wsi francuskiej, gdzie kwatrował nowy jego oddział, groza tamtych bitew stała się jakby bezosobowa i już historyczna.

Ciemność panowała taka — mówił — że nie mogliśmy rozróżnić, kto był swój a kto obcy. Po pierwszych sztychach bagnetem kotłowało się wszystko. Jeśli Niemcy uciekali, gnaliśmy za nimi aż do ostatniego pchnięcia. Ale zdarzało się że zostawali na miejscu. Wtenczas ludzie miewali się ze sobą, każdy musiał sam sobie radzić. Najlepiej było wyciągnąć lewą rękę i namacać przed sobą helm. Jeśli zbroku na helmie był blaszany guz, znaczyło że to Niemiec. Nasze helmy były płaskie. Wtedy prawą ręką z karabinem brałem rozmach i obiema kulem wprost przed siebie. Krew brzygała nam na pasczce. Na drugi dzień, gdy wysychała na słońcu, aż mdliło od tego zapachu...

Kapral Gn. nie wymyślił tej wojny i zapewne nie rozważał długo nad śmiercią i okrucieństwem walk. Gdy przyszło się bić, miał tę wyższość, że zginąć byłoby mu łatwiej i lżej, niż komu innemu. Taki był polski sekret.

Dywizja wywojowała nim Muzyłowice, Mogiły, Czarnokońce... W nowej formacji, w której służył teraz kapral Gn., pokazywano mi mapy odtwarzające przebieg tamtych bojów. Widziałem wspomniane miejscowości, oznaczone napisem: „M.p. mieżanego korpusu pancernego „Germania”.

Było to nie tylko miejsce ostatniego postoiu, ale i miejsce ostatniego spoczynku. Korpus przestał tam istnieć.

Wziąłem sobie stamtąd taką pamiątkę — powiedział jeszcze kapral i pokazał mi czarno-białą wstążkę z tym samym napisem „Germania”.

Zdjął ją z munduru niemieckiego, schował głęboko i przewiół skrycie przez wiele niegościnnych granic. Pokazywał ją jakby na świadectwo tamtych wypadków, prawdziwą tajemnicę lasu.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

IGNACY WIENIEWSKI

SZKOLNICTWO W PRZYSZŁEJ POLSCE

„NARODZIŁ SIĘ TAKI, KTÓRY WSZYSTKIM NIE DOBODZIŁ”

Tak określa Stanisław Mackiewicz w swej „Historji Polski” Janusza Jędrzejewicza, autora reformy szkolnej. Istotnie, poza garścią współpracowników tego ministra w nieznanym dziele reformy, i garścią polityków, którzy ze zrozumiałych względów musieli jej gloryfikować, większość społeczeństwa przyjął reformę niechętnie lub wręcz wrogo. Mackiewicz pisze o o tej sprawie bardzo dosadnie: „Była to klęska kultury polskiej. Jędrzejewicz nie rozumiał, że okres gimnazjalny ma takie znaczenie dla mózgu ludzkiego, jak gmatnięcie ciasta dla ciała, bulek lub klusek. Chodzi o to, by mózg ludzki nauczył się myśleć w sposób prawidłowy... Gimnazjum powinno dać metodę myślenia, umiejętność znajdowania syntezy, ale też przekonać, że dyktando, fragmentaryczność, frazes jest rzeczą głupią i wstrętną, że by o czymś mówić, trzeba daną rzecz poznać, zgłębić, że solidność powinna być cechą każdej pracy. Oczywiście, reforma Jędrzejewicza była zaprzeczeniem tego wszystkiego. Porwał on wiedzę gimnazjalną w strzępy... sprawił, że do głowy ucznia pakowano wszelki groch z kapustą, bez ładu i składu. Uczono mnóstwa rzeczy i uczono tego, że niczego uczyć się nie trzeba dobrze”.

Pasja publicystyczna, z jaką scharakteryzował Mackiewicz reformę jędrzejewiczowską, jest w zasadzie zgodna z prawdą. Istotnie, jeżeli chodzi o naukę gimnazjalną, reforma przyniosła jej fragmentaryczność, niemotoryczne rozkwakanie programu, a w ostatecznym wyniku — powierzchowność i dyktando. Chciano poprostu złapać przemysłnie zbyt wiele srok za ogon (i to w skróconym okresie czasu), więc o tym to była — nie złapano zadnej. Ale trzeba pamiętać, że gimnazjum było tylko jednym ogniwem całego zmienionego systemu, a organizacja i program szkoły średniej były koniecznym następstwem reformy szkolnictwa powszechnego. Tej zaś reformie przyświecała zasada szkoły jednolitej.

SZKOŁA POWSZECHNA MUSI BYĆ POWSZECHNA

Jędrzejewicz wprowadził jednolitą (rzekomo) szkołę powszechną 7-oddziałową — w przeciwieństwie do dotychczasowej 4-oddziałowej dla kandydatów do gimnazjum i więcej-oddziałowej dla tych, którzy do gimnazjum iść nie mieli. Jednolitość ta miała wyrażać demokratyczny charakter reformy. W praktyce jednak nie było tu ani jednolitości ani demokratyzmu. Nie było jednolitości, gdyż kandydaci do gimnazjum opuszczali szkołę powszechną po ukończeniu 6 oddziałów; pozostawiali zaś względy finansowe nie pozwoliły rządowi na zorganizowanie wszystkich szkół jako 7-oddziałowych. To również względy pogrzebały także demokratyczność szkoły rzekomo jednolitej.

Albowiem Polski nie było stać na równie gęstą sieć szkół 7-oddziałowych, co dotychczasowych mniej-oddziałowych. W epoce kryzysu gospodarczego stwarzało w kraju o znacznym natężeniu analfabetyzmu szkoły 7-oddziałowe, zamiast zagęszczenia się szkół nisko-zorganizowanych, było objawem doktrynisty nie liczącego się z rzeczywistością. W rezultacie Polska miała mniej szkół powszechnych, niż przed reformą, i wiele wsi zostało pozbawionych oświaty. Reforma demokratyczna stała się antydemokratyczna.

przynosząc wzrost analfabetyzmu i odsuwając od szkoły wiele dzieci chłopskich.

W odrodzonej Polsce szkoła powszechna musi być naprawdę powszechna. Musi zapewnić oświatę wszystkim dzieciom. Musi mieć dostatecznie gęstą sieć szkół 4-oddziałowych, przygotowywanych do gimnazjum, bez względu na to, ile będzie oddziałów w szkołach dla dzieci, nie zamierzających iść do gimnazjum. Bo jak zobaczymy dalej, gimnazjum wymaga przygotowania właśnie 4-letniego, a nie można dla doktryny niwelować rzeczy, które zniwelować się nie dadzą. Zwłaszcza gdy chodzi o żywe organizmy ludzkie.

SZKOŁA — WYRAZICIELKĄ KULTURY NARODOWEJ

Szkolnictwo jest jedną z podstaw kultury narodu i musi ją ono jak najdokładniej odzwierciedlać. Z natury rzeczy chodzi tu przedewszystkiem o to szkołę, która ma zapewnić młodzieży wszechstronną kulturę umysłową — t. zn. o *szkołę średnią ogólnokształcącą*. Wynika z tego, że w systemie wychowawczym i wykształceniowym tej szkoły nie powinno zabraknąć niczego co stanowi istotną treść kultury polskiej.

Znamy te treści: składa się ona z chrześcijaństwa i z dziedzictwa grecko-rzymskiego zrosłego z naszym gruntem. Czynnik ten stanowią zarazem istotę kultury zachodniej, czyli łacińskiej, która sroczęci się naród polski. Starych tych prawd nie mam zanurzać tutaj udowadniać. Czynilem to już zresztą niejednokrotnie w kraju i na emigracji (por. „Niemcy zdradzili kulturę zachodnią” w nr. 28/29 i „Grecka rodzica” w nr. 61, „Wiadomości Polskie”). Powiem tylko, że duma Polski była i jest rola bastionu kultury łacińskiej na wschodzie Europy. Chlubna to rola, ale nakłada obowiązki. Bo jeżeli nie chcemy, aby ona pustym frazesem, musimy dbać, byśmy ową bronią przez nas kulturę i jej podstawy znali. Podstawy te stanowi spadek duchowy po Grekach i Rzymianach.

Oparcie szkoły, zgodnie z charakterem kultury polskiej, na zasadach chrześcijańskich i na dziedzictwie antycznym, nie oznacza powrotu do średnio-wiecznej szkoły klasztornej, w której nauka odbywała się po łacinie. Ale oznacza wychowanie w duchu prawdziwie chrześcijańskim i wykształcenie nie ignorujące dorobku grecko-rzymskiego. Oznacza również wpaćanie w młodzież Chrystusowego nakazu miłości bliźniego (a nie bezbożstwa, walki klasy i nienawiści rasowej) oraz hellenicki zasad humanitaryzmu i demokracji (a nie totalizmu i miażdżenia osobowości ludzkiej).

OGÓLNE WYKSZTAŁCENIE CZY SPECJALIZACJA?

Wielu teoretyków pedagogiki szukało najważniejszego sformułowania celów szkoły średniej ogólnokształcącej, jak zresztą celów szkolnictwa w ogóle. Nie dążąc do wynalezienia formuły bezwzględnej i ostatecznej, sądzę jednak, że zadaniem szkoły średniej ogólnokształcącej jest zapewnienie młodzieży ogólnej kultury duchowej, a w szczególności umysłowej, przez nauczanie jej prawidłowego myślenia i danie jej dostatecznej sumy wiedzy wszechstronnej, oraz wychowanie chłopca czy dziewczyny na pełnego człowieka i pełnego Polaka.

Wynika z tego, że szkoła średnia ogólnokształcąca musi być naprawdę ogólnokształcąca, a nie dążyć do specjalizacji. Specjalizo-

wać powinny szkoły zawodowe oraz szkoły wyższe. Tego zadania szkoła średnia ogólnokształcąca spełnić nie potrafi, a wysiłki w tym kierunku osłabiają tylko wyniki wykształcenia ogólnego, nie osiagające celu specjalizacji. Zakres zaś i gruntowność przyswajanej wiedzy powinny być tego rodzaju, by umożliwić młodzieży ewentualne dalsze studia w szkołach wyższych.

Zagadnienie „ogólne wykształcenie czy specjalizacja?” rozwiązała reforma Jędrzejewicza wadliwie, ponieważ chciała zadoseć uczynić obu postulatami. Po odwołaniu od gimnazjum dwu najniższych klas na rzecz szkoły powszechnej, pozostało do rozporządzenia 6 klas. Miały one zapewnić i ogólne wykształcenie i pewną rudymetarną specjalizację: pierwszą — w 4-letnim gimnazjum, drugą — w 2-letnim liceum (o czterech typach). Rezultat był oczywiście opłakany, ponieważ ani w cztery lata żaden geniusz pedagogiczny nie włożył w Boga ducha winno głównej wiedzy ogólnej, ani w dwa lata nie można osiągnąć jakiejś podstawowej choćby specjalizacji.

Do absurdu 4-letniego gimnazjum jeszcze powróć. Absurd idealny zilustruje na przykładzie liceum klasycznego. Uczono w nim języka greckiego (4 godziny tygodniowo). Nauka tego trudnego języka trwała w dawnym 8-letnim gimnazjum klasycznym 6 lat i doprowadzała do poznania najcenniejszych klasyków greckich (Homer, Platon, Sofokles i in.). Rezultaty były tu w proporcji z zamiarami. W liceum jędrzejewiczowskim uczono młodzież przez dwa lata skoncentrowanym do niemożliwości programem i osiągnięto... znajomość podstaw języka: o poznaniu wspaniałej literatury greckiej nie było mowy, gdyż trudno w ten sposób określić przysylabowanie w paru ostatnich miesiącach nauki kilkudziesięciu wierszy tekstu jakiegokolwiek Ksenofonta. Siedzieć dwa lata nad infantylną o czytanką, kuwkać gramatykę, by na tem poprzestać — to dla dorastającego chłopca była nieznośnością tortura. Autorzy reformy uważali naukę greki w liceum jako propedeutykę dla przyszłych słuchaczy filologii klasycznej. Ale tego rodzaju „propedeutyka” mogła tylko zniechęcić najgorętszego entuzjastę tej dziedziny wiedzy.

TROCHĘ FIZJOLOGII

Czteroletność gimnazjum „ogólnokształcącego” (?) była więc pięcią Achillesową. Rozpoczęła je młodzież w 13-ym roku życia, a więc w wieku przejściowym, w którym zmiany fizjologiczne oddziałują na umiemy na funkcjonowanie władz umysłowych. Nerwowość utrudnia pracę. Pamięć jest słabsza, niż przedtem i potem. I w takim to okresie rozwojowym dziecko przechodzi do szkoły nowego typu, gdzie już sama nowość systemu nauki robi swoje, gdzie odrazu w pierwszym roku zaczyna się uczyć dwu języków (nowożytnego i łaciny), co wymaga właśnie specjalnego wysiłku pamięci. Ten sam wysiłek dwa lata wcześniej byłby dokonany o wiele łatwiej, jak uczy doświadczenie z 8-letniego gimnazjum starszego typu. Teraz zaś staje się udręką dla młodzieży i przynosi słabe rezultaty w nauce.

Ala na tem nie koniec. Czteroletnie gimnazjum miało być przeciw ogólnokształcącemu. A więc w ciągu czterech lat trzeba było dać młodzieży pełną zamkniętą w sobie całość wiedzy ogólnej, a zatem w *zasadzie* to co przedtem osiągało się w ośmiu latach. Koniecznym

następstwem była tu nieprawdopodobna koncentracja materiału, nowy powód przeciążenia młodzieży. Że ta koncentracja była nieodwrotnie połączona z powierzchownością i fragmentarycznością (co słusznie wytyka Mackiewicz), to inna sprawa, do której jeszcze powrócę.

Przeciążenie młodzieży, przypadające na najmniej odpowiedni okres rozwojowy a wynikił z wadliwej organizacji szkolnictwa, miało jeszcze inne źródło. Oto zakorzenił w się szkolnictwie odrodzonej Polski (nie kładę tego specjalnie na karb systemu Jędrzejewicza) jakiś dziwny kult pisaniny; przedmioty, których nauka zupełnie nie wymaga prac piśmiennych, np. historia, obciążone były zadaniami domowymi, prowadzeniem jakichś wymyślnych zeszytów specjalnych (często z ilustracjami...) i t.p. Było to niezrozumiałe zbiurokratyzowanie nauki szkolnej. Powodowało ono nawet roboty (kilka prac piśmiennych na jeden dzień, nie licząc przygotowania się pamięciowego na lekcje), a realnego pożytku było z tego znikomo mało.

Wreszcie „gwóździł” systemu jędrzejewiczowskiego i t. zw. wychowanie państwowe. „Szkoła powinna nie tylko uczyć, ale przede wszystkim wychowywać”. Pod tem pięknym hasłem zaczęło się „uspolecznianie młodzieży”, wciągnięcie jej do „państwotwórczych” organizacji (Straż Przednia), budowanie samorządów klasowych i ogólnoszkolnych, nie mówiąc już o zalewie rozmaitych koleś samokształcenia. Zabierało to wszystko młodzieży wiele cennego czasu przeznaczonego na przygotowywanie się na dzień następny, no — i na rozrywki. Siedzenie i kucie po nocach było smutnem i skłódlivem dla młodych organizmów następstwem tego systemu.

HISTORIA MAGISTRA MALA

Nieumkonia w programie 4-letniego gimnazjum koncentracja materiału pociągała za sobą jednak nie tylko przeciążenie młodzieży. Jak już wspominałem, powodowała ona również powierzchowność i nieuctwo. Przyjrzyjmy się tej sprawie na znamienym przykładzie historii. Podobno nauka ta ma być „magistra vitae”. W wydaniu jędrzejewiczowskim była ona jednak bardzo lichą nauczycielką.

W ciągu czterech lat trzeba było nauczyć całej historii powszechnej, wraz z historją Polski. Realizacja tego programu nie byłaby specjalnie trudna, gdyby sprawę potraktować rozsądnie i biorąc pod uwagę wielki poziom rozwoju umysłowego młodzieży gimnazjalnej, ograniczyć się do faktów i obrazów historycznych z silnem uwzględnieniem materiału anegdotycznego. Ale oto postawiono sobie ambitniejsze cele. Ponieważ 4-letnie gimnazjum ma zapewnić ogólne wykształcenie, zaczęto uszczęśliwiać nieletnie ofiary ni mniej ni więcej tylko syntezą historyczną, gdzie fakty zeszyły na plan drugi, a na pierwsze miejsce wybiły się „szerokie ruty ewolucji zagadnień”.

Łatwo sobie wyobrazić, co z tego wyszło. Młodzież nie znała często najważniejszych wydarzeń lub nie umiała ich umiejscowić w czasie, nie miała w głowie zasadniczego obrazu chronologii dziejów. W V przed Chr. mało się w jej oczach różnił od V po Chr. Ale zato narzucono jej „ujęcia syntetyczne”. Synteza ma oczywiście ogromną wartość kształcącą, lecz tylko pod warunkiem, że jest dokonywana samodzielnie, a na to trzeba:

odpowiedniego stadium rozwoju umysłowego, nadszedłszy zaś dokładnej znajomości materiału faktycznego, z którego dopiero można wysnuwać wnioski ogólne. Natomiast przychodnie do dziecka z gotową „syntezą” faktów znanych mu bardzo niedostatecznie, jest nie tylko bezwartościowe dydaktycznie i powiększa jedynie chaos w głowie, ale jest również skłódlive z punktu widzenia wychowawczego, gdyż uczy błagi, powierzchowności i przymadłego uogólniania faktów, o których ma się wyobrażenie blade lub żadne.

W szkole galicyjskiej sprzed wojny światowej (a szkoła ta miała wysokie zalety, jeżeli chodzi o gruntowność wykształcenia) program nauczania historii był skonstruowany rozsądnie. W niższym gimnazjum zapoznawano się przez trzy lata z barwnie i popularnie opowiedzianymi dziejami, zawierającymi fakty i bogaty materiał anegdotyczny, a w czterech wyższych klasach przerabiano historję na modłę poważniejszą, z próbami metody pragmatycznej. Historia popularna ma dużo walorów kształcących, a zwłaszcza stanowi świetną podbudowę pod naukę historji na wyższym poziomie. Ale na takie dwa poziomy w gimnazjum czteroletnim niema czasu. Nie poradzi tu dwuletnie liceum, bo gimnazjum ma dać całość ogólnego wykształcenia, skoro liczne rzesze kończą swą edukację na gimnazjum, i młodzież wychodzi z tego gimnazjum z tak słabą znajomością historii, że t. zw. wyższy poziom w liceum znowu pozbawiony jest solidnej podstawy, a rozporządza tylko dwoma latami dla całej historii od Hammurabiego do Hitlera.

KILKA WNIOSKÓW

Oczywiście, łatwo jest krytykować, trudniej naszkicować projekt pozytywny. Nie można tego zresztą zrobić wyczerpująco w artykule, dotykającym tylko niektórych stron zagadnienia. Mimo to spróbuję wysnuć z moich uwag pewne wnioski.

Szkoła elementarna powinna być naturalnie w całem tego słowa znaczeniu powszechna, t.j. zapewnić naukę wszystkim dzieciom. Nie musi natomiast być jednolita, skoro — jak widzieliśmy — jednolitość ta pociąga za sobą ujemne skutki, zwłaszcza fatalne skrócenie kursu gimnazjalnego. Dziecko rozpoczynające naukę w roku, w którym kończy 6 lat, i uczęszczałoby do szkoły powszechnej przez 4 lata, o ileby miało iść następnie do gimnazjum. W innych wypadkach, np. dla kandydatów do szkół zawodowych, nauka w szkole powszechnej trwałaby 7 lat (w 7 oddziałach). Bardzo ważną przytem jest rzeczą, by program nauczania w trzech pierwszych klasach gimnazjalnych został uzgodniony z programem trzech najwyższych oddziałów 7-oddziałowej szkoły powszechnej. Program ten, poza specyficznymi przedmiotami gimnazjalnymi (łacina), musi być podobny, celem umożliwienia uczniom niższego gimnazjum, którzy zorientują się, że nadają się więcej do szkoły zawodowej, przejście do tej szkoły (czy też do odpowiedniego oddziału — 6-go lub 7-go — szkoły powszechnej).

Nauka w gimnazjum rozpoczynałaby się w roku ukończenia przez chłopca lub dziewczynę 10 lat życia. Trwałaby 8 lub raczej 9 lat (jak to było do niedawna w Niemczech). Jestem pewny, że dodanie tego jednego roku wpłynęłoby znakomicie na lepsze rozplanowanie materiału i odciażenie młodzieży. A nie zapominajmy, że materiał nauki różnie ciagle (historja, literatura, fizyka).

Gimnazjum powinno być naprawdę ogólnokształcące. A to ogólne wykształcenie o-pierałoby się, zgodnie z tem co powiedziane wyżej, na kulturze łacińskiej jako czynniku podstawowym kultury polskiej. Znaczenie kultury łacińskiej rozumiał nawet Jędrzejewicz, kiedy wprowadził łacinę do wszystkich w zasadzie gimnazjów. Ze rezultaty były słabe, wina znowu leżała w ograniczeniu tego gimnazjum do 4 lat. W projektowanej tutaj szkole średniej łacina zaczynałaby się już w I klasie. Dziecko przystępowałoby do nauki gimnazjalnej w wieku przed okresem przejściowym, gdy pamięć nie jest jeszcze osłabiona.

Cele nauki łaciny są dobrze znane. Wiadomo, że nie rozumie kultury polskiej, kto nie zna jej źródła: kultury łacińskiej (grecko-rzymskiej). Ponadto język łaciński, dzięki logice i konsekwencji swej budowy (zwłaszcza składni), stanowi nieocenioną gimnastykę umysłu. W ten sposób rozwija zdolności spekulatywne, a zarazem — przy lekturze autorów — wyrabia smak literacki i wrażliwość na piękno. Jest to zatem jedyny przedmiot nauki szkolnej, kształcący równomiernie spekulatywne władze intelektu oraz emocjonalną stronę duszy. Formuje więc pełnego człowieka, a to jest właśnie idealny cel wykształcenia humanistycznego.

Po 3 latach jednolitej nauki, mogłaby nastąpić rozgałęzienie programu na dwa typy. Odpowiadaby one dwóm zasadniczym typom zdolności ludzkich, a nie miałyby nic wspólnego ze specjalizacją na modłę czterech typów liceum jędrzejewiczowskiego. Tutaj mielibyśmy: typ klasyczny i matematyczno-przyrodniczy. Tamten operowałby się na językach łacińskim i greckim, których połączenie pozwala osiągnąć prawdziwą kulturę humanistyczną. Ten, nie wyrzekając się łaciny, miałby jako podstawę dydaktyczną matematykę, fizykę i przyrodę; przypominałby t. zw. „gimnazjum realne”, które

Schylił się, wlepił oko w dioptrę i znowu sennym głosem:

— Pal!

Kiedy kanonierowie rychtowali pierwsze działo, wsunął głowę między policzki strzelnicy i wyjrzał. Grobla przedbramna była pusta, zalana przez białe słońce. Dalej pod dymem rozeszło się błoto Payolo, tak zielone, kwietne od porostów grążelowych, od lilij wodnych, od wodnych szuwarów i tataraku. Że oczu nie można było oderwać. Z okopów austriackich, które stały w drugim rzędzie za linią barkanów i kurtyn, pękały co chwila w morzu dymów nowostozkowane, śnieżnobiałe ich słupy. Całe powietrze wstrząsało się od dziesięciogłosnego loskotu, a ziemia trzęsła się niecierpliwymi drgawkami. Książę wrócił do roboty, między kanonierów, których białe ze zgrzebnego płótna lejki przemieniały się w ciemne lachmany. Pot czarną plamą wylał na ich plecach i barkach. Ręce mdlały od wprowadzania łoż na miejsca. Tylko białka oczu błyskające świadczyły o rozpetanej i wścieklej sile.

Nadjechał generał Borton ze sztabem. Już wówczas słabła kanonada. Miasto płonęło. Ludność, schroniwszy się do piwnic i lochów, nie ratowała swego mienia. Nad wieczorem tegoż dnia, po obustronnem zaprzestaniu walki, książę Gintult szedł przed samym zachodem słońca do Miglioretto, gdzie było czoło boju. Minał bramę Pusterla, most arkadowy na Corso delle Barche al Palio. Zielona od skrzeków woda, zakisła i nie-ruchoma, gnijąca pod kożuchami grzybienia, pełna była gruzów i strzępów. Wierzyby i eukaliptusy, wysysające wilgoć z błot, były pościanane albo podarte. Na poszarpanej drodze tarzały się niebieskawe od spaleniżny czerpy bomb i rozpryskanych kul. Smutek śmierci ścisnął serce żelaznem klamrami na tej drodze samotnej. Minąwszy Palazzo del Tè, książę szedł ku Miglioretto śliczną niegdyś platanową aleją. Nie ocalało tu ani jedno drzewo. Ogrody były zryte, same groble i forty uszkodzone nadzwyczajnie. Były to ślady bombardowania tych miejsc specjalnie poprzedniego ranka, kiedy nieprzyjaciół wyrzucił 514 pocisków granatnikowych i 824 bomby. Idąc po groblach, obok upustów, między cuchnącymi kanałami, książę nie znajdował w żadnym z fortów Axamitowskiego. Miał polecenie od generała Bortona oświadczyć ustnie szefowi baterji polskiej, że nazajutrz całe przedmieście San-Giorgio będzie bez strzału oddane nieprzyjacielowi. Żaloga wyjdzie w nocy, bez szelestu. Wszystkie siły należy użyć ku obronie Miglioretto. Przybywszy do strzałczanu, dwuramnika, wysuniętego na czoło układu wszystkich szanów, bastionów, redanów, kurtyn, lunet i bieretów, znalazł olbrzymie zmiany. Wszystkie podmurowania Miglioretto były napół zburzone, palisady zgorzałe.

W chwili gdy książę przybył, Axamitowski po kilku dniach i nocach walk nieustannych spał snem kamiennym. Oficerowie i kanonierowie byli tak spracowani, że drzemali stojąc, półleżąc, przy łóżkach, przy wozach, przy blasku lamp. Wszędzie szersza gać, niż w miejscach, gdzie się znajdowały. Payolo, przeobrazone teraz w bagno, których środkami cięła i ławie zgnila rzeczka, porośnięte białymi gajami nieprzerzanemi trzin jasnozielonych, szelastnych, sitowiem, tatarakiem i rokinia. Gwar szpaków rozlegał się tam na całej przestrzeni. Groble, prowadzące przez błota do wioski Ceresse na zajezierzu, widziały się w całej długości.

Książę tak przecieć był zmęczony, że ledwie spostrzegł i słyszał, ledwie wiedział gdzie jest. Powtarzał sobie w myśli raz za razem zlecenie i czekał. Wszkietmi siłami ciała starał się, ażeby ustać na nogach. Wszedł po drewnianych stopniach na „banquette” szanica, miejsce wyniesione pod poziom, gdzie stała obrońcy, żeby strzelać ponad ziemne przedpierz. Przechadzał się tam i napowrót między jednym działem a drugim. Te posępne, spracowane spię zady się w tej chwili drzemać tak samo jak ludzie. Posłaniec uczył, że jest tu między wszystkimi sam, sam jeden czuwający. Zajął się ćwierkanie szpaków przemieniał się w dziką melodię... Roje komarów wirowały tu i rzuciły się na twarz. Wstrętne myśli rzuciły się na duszę. Gdy tak błąkał się, głową przewyszczać „hautre d'appui” nasypu szanica, i gdy zabnął w najciemniejsze pieczary smutku, dano mu znać, że szef wstał i czeka.

Książę zdał mu raport i zarazem prosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Axamitowski, usłyszawszy wieść miłą, chwycił się za głowę i siedział przez chwilę bez ruchu. Potem dopiero przypomniał sobie drugą prośbę i zaprowadził księcia do baruku w głębi sąsiedniego „bonnet de pretre”, gdzie spał niedawno. Gintult przycupnął na wygniecinem posłaniu i wnet usnął. Miał sny straszliwe, sny niezapomniane na całe życie, w których zamknięte są światy samoistne, prawdy nam tylko samym wiadome i zjawiska prawdziwie niemieckie. W tym śnie pamiętnym książę przebiegł jakieś inne, całkowiście życie od jego początku do końca. Zapamiętał niektóre tylko kształty, ulamki, blaski widzianego świata i jego mglistą całość. Kilkakrotnie skakały na jego pierś pociski przeraźliwe. Uderzały, wypadając z ciemności, naprzód w ziemię, jak łone kule, a potem mknęły koło uszu na podobieństwo wielkich chrabąszców, skarabeuszów niezwykłej wielkości. Wrażenie ich przelotu, ich muskanie twarzy szorstkimi skrzydłami było nie do zniesienia. Z przeczennym jękiem, którego z pierś nie można wyrzucić, uciekał, przeczując, że znowu padnie, odbije się od ziemi i skoczy kula skrzydłata... Wtem te trwogę senną, straszliwą niż wszystko na rzeczywistym świecie, zgniół gromadny wrzask, jęki, loskot broni. Książę, wyrwany z twardego snu, ocknął się, ale nie wiedział nic o sobie. W malaryjnej półwiedzy siedział na posłaniu i patrzył przed siebie. W czołach i barkach bieretu, w naronikowych szczególniej

kątach ujrzał tłum artylerzystów, mocujących się jakby w czasie ćwiczeń gimnastycznych. Żołnierze wielkiego wzrostu przelazli przez wierzchołki przedpierz i tu, rażeni śmiertelnie wyciorami, dragami, bagnetem, darli się do armat. Gintult nie mógł pojąć, co to za ludzie. Widział w blaskach ognia ich niskie czarne kapelusze z białą obwódką, białe z ciemnymi potrzebami mundury, szerokie, czerwone pasy, ciemne spodnie i czarne kamazse.

— Gula! Bij, zabij! — wrzeszczał obok niego jakiś podoficer, pędząc naprzód z bagnetem.

„Regiment Franza Guilay”... — myślał książę, rozumiejąc teraz dopiero, co się dzieje.

Tymczasem już wszystkie armaty były opalone. Infanterja austriacka, prowadzona do szturmu przez pułkownika Ridd von Lattermann, pchała się ze wszelkich stron na okopy. Olbrzymi kanonier austriacki w ciemnopiaskowym mundurze obuchem młota wbił bretal w zapal granatnika... Ale jednocześnie przez wąską szczyt szanica krokiem żelaznym a cichym nie wbiegła, lecz zaiste wskoczyła jak pantera kompanja grenadierów polskich. Książę zerwał się ze swego miejsca, znalazł szpadę i biegł do szeregów. Szerokie bagnety wrzucił w Austriaków. Zwarty zastęp przetrwał najbliższych napastników. Ale widzieli się nowe szeregi. Zawrzała bitwa nie na bagnety już, lecz na kolby. Rozwścieczona garść

sięgnęła po gardziel wroga. Zrzuceni w ciemność przez wierzch szanica, tonęli w fosach. Bili się na moc, szarpając bronią mundury. Rosta kupa trupów i rannych. Wreszcie wnetrze bieretu upostasowało. Napastnik zginął albo wyrzucony został na zewnątrz. Kompanja grenadjerska chryżym krokiem wysunęła się przed szczyt i wsiadła w ciemność. Gintult szedł z nimi. Broń do ataku, krok żelazny, oko wlepione w mrok. We wszystkich naczelnych szanach wrzala walka śmiertelna. W fosach, między palisadami, w martwych kątach naroników słyszał było ciosy i jęki. Kompanja, idąc naprzód, przez rowy, przez wały rannych i trupów, dojrzała przed sobą białe mundury. Wzięła je ściągając wilczmisi susy. Wnet był w bagnach. Już stamtąd dochodził szeleć i ryk boju. Dopadli. Wrzask tyłu przebitych, rozkazy oficerów szczujące do rzezi, przekleństwa, skomlenie rannych. Chyżo, z dobytą szpadą szedł książę, porwany przez uniesienie. W pewnym miejscu kupa białych, obokoczona przez cisalpinów i Polaków, biła się po pas w bloce.

W trzcinach wyniosłych, suchych, trzeszczących, żołnierze tworzyli zwarte koło. Kogo bagnety dosięgały, tego spychał w bagno, w żywy grób. Kolba go dotknęła, a obcas wdeptał w bajoro. Zeby nie zapadać się w bloce, stawali na żywych i jeszcze ciałach i z nich prali w tłum uciekający. W pewnej chwili kule ogniste oświeciły całe Payolo. To Redel wyczuł

swym ogniem skradających się pod wodzą kapitana artylerji Smita, oraz inny oddział pod kapitanem Martynowem, wpraw przebiegający rzekę. Strychowana z barjerów del Tè runęła na nich kanonada. W wybuchach prochowego ognia książę widział dookoła zbroczone bagnety i lufy, rzygające z ran krwią złane pierśi i geby, wyszczerzone zębcie, wywalone, straszliwe oczy. Krwawe szpony wszczęły się w czyste włosy... Nowy blask! Własna szpada cała jak piorun! Czernieni się i cieknie gorący ogień krwi. Nowy cios... Po rekojęści! Dionie, palce kurczowo chwytają idącego za nogi z głębi trzawiska. Zduszone rżenie gardzieli, belkot ust w bloce. Trzask trzin. Ktoś ucieka. Szczęk kolby o czaszkę i cichy płacz. W samym kanale Payolo zapamiętał się pierś w pierś, dusili się wzajem za gardła i spychali na wieki do jam śmierci. Coraz już rzadziej, ale coraz wyraźniej rozdzielały ciemności gromy nieulicznych ryków i krzyki zemsty.

Dopiero nade dniem wycieczka była odepchnięta na całej linii. Grenadjerowie wleki ze sobą gromadę niewolnika, schwytanego w szuwarach. Książę staplany w bagnie płał się między ludźmi, dźwigając głowę ciężką jak kowadło. Mroź go przenikał od stóp do głów. Nogi się gęły. Ledwo widząc drogę i przedmioty, zawłókł się rano do swej w mieście izby i nieprzytomny zgola upadł na łóżko.

Spał teraz jak drewno, pogrążony w potach, dreszczach i ciemności. Gdy się kiedy niekiedy ocknął, znajdował przy wezgłowiu proste, gliniane naczynie z winem rozcieńczonym wodą. Nachylała się ku niemu ohydna twarz lichwiara, który mu pożyczal pieniędzy. Był to Żyd z twarzą mantuańską, popielato-czarna. Książę widział w półśnie, że lichwiarz przeszukuje kieszenie jego płaszcza, że przewraca w toalecie, gdzie nie cennego nie było. Bawił się tym widokiem. Byłby ciska. Dwa czy trzy razy zjadł skibkę chleba, popił wodą i znowu spać! Piątego dnia Żyd wbiegł do izby w popłochu i z krzykiem. Targając chorego, wrzeszczał przeraźliwie, że Francuzi poddali miasto i wychodzą, że Miglioretto już obsadzone przez Austriaków, a w bramie Ceresse pieczętują ludzi. Książę zrazu nie chciał ruszyć się i nie wierzył, ale koniec końców wstał z łóżka. Ogarnął się jak mógł i wyszedł. Żyd za nim. Mówił prawdę. Piechota z jednym sztabem generała Foissac-Latoura ciągnęła wolno w stronę mostu Molini ku cytadeli, za nią artylerja z działami. Furgony generała dowodzącego i innych, a nawet powozy oficerskie i ekipaże ich żon szły, dudniąc między gruzami. Przerzawszy się w skroś motłochu, książę zobaczył nareszcie swoich. Był to w porządku z obnażoną bronią. Artylerja na przdzie, za nią konnica, kompanje piesze naostatku. Oznajmiono mu, że garnizon poddął się i z honorami wychodzi przez

cytadelę, a legja ma rozkaz zamykać kolumnę.

Stanał w szeregu, dobił szpady i postepował obok działa. Pułki lekkie francuskie zajęły sklepione mosty, minęły je, ale nie posuwały się dalej. Wąskie przesmyki gruntu między jeziorami na przedmurzu fortecy, zastawione nędżnymi domostwami, tak były pełne wojska, że noga ludzka wcisnęła się tam już nie mogła. Artylerja Axamitowskiego i jej armaty weszły na most, w ciemną cześć murów grubych, bezkształtnych, trupio szarych od wielowiekowych pyłów maki. Kompanje piesze wciąż jeszcze stały w ciasnych ulicach. Książę był w szeregu między żołnierzami. Oczy jego wlewały się bezładnie po starych pajęczynach, które mąka obarczyła, po śladach powodzi i owych posępnych oknach-strzelnicach, co wychodzą na stęchłe jeziora. Milczące w tej chwili młyny były wstrętne jakby tortury średniowieczne.

Gdy tak w ciszy strudzone wojsko czekało na chwilę wyjścia z przekłętogo miejsca, biała kolumna austriacka ukazała się zdale w ulicy. Oficerowie szli równo z nią krokiem chryżym. Zbliżwszy się, sformowali szyk w dziwny sposób. Naprzód klinem weszli między artylerję i piechotę polską, a potem wzięli broń do nogi. Nikt z Polaków nie przeszkadzał im, ani protestował. Wychodzili z honorami na podstawie kapitulacji jawnie zawartej i odczytanej w szeregach. Drugi jej paragraf wszem wobec głosił, że wojsko cisalpijskie, szwajcarskie, polskie i piemontskie będą uważane i traktowane pod każdym względem jak wojska rzeczywistopolnej francuskiej. W pewnej chwili, na rozkaz, Austriacy pochylili się za broń i nastawili ją przeciwko grenadjerom, wołtżerom i artylerji. W tej chwili ze wszystkich zaułków, z dziedzińców, zza murów rzuciła się na nieprzygotowanych piechota olbrzymim tłumem. Wydzierali zbrodniczo napadniętym z rak karabiny, czapki wbił na oczy albo je zdzielali i wleki obezwładnionych po bruku. Wiażali ręce powalonym na ziemi. Oficerowie w pierwszej chwili oniemieli z przerażenia. Ale i ich nie oszczędzono.

Ujrzeni, jak napadniętym w ciasnych zaułkach żołnierzom i podoficerom zdzierają naramienniki i biją nimi po twarzy, jak szarpia za włosy, kopią nogami, tarzają w błocie ulicznym, wiażają ręce i nogi. Ujrzeni wrzecie, że zdzierają mundury oficerskie z tych, którzy je mstwem, w bitwach, przed oczyma dwu armij zdobyli, wiażają dłonie do lufy karabina, żeby puszczać przez kije.

— Do broni! — rozległ się krzyk. Było już za późno. Kolumna była rozzerwana na kilkanaście części, a każda z nich obokoczona. Broń wydarto. Z kompanij najbliższej mostu stojących kilkuset żołnierzy chyłkiem przemknęło się ku cytadeli i uszło losu współbraci. I na grupę dwudziestu oficerów artylerji zwała się masa piechoty austriackiej z nastawionym bagnetem. Obstąpiono ich pierścieniem grubym na dziesięć ciał. Poznałszy, co się dzieje, wyrwali szpady. Sparli się brat w brata ramionami i

BOLESŁAW PRUS

Wróciwszy cało z piątej kampanji w życiu, pułkownik w końcu r. 1871 wziął dymisję i osiadł w Lyonie. Liczył sobie dopiero 65 lat i wyglądał tak czerstwo, że przyjaciele namawiali go, aby się ożenił. Ale pułkownik nie chciał się żenić. Mówił, że wprawdzie ma jeszcze mocne nogi, lecz że go już znudziła adwokacka Francja, więc myśli wrócić do swoich. Z babą zaś miałby w drodze dużo kłopotu.

Chciał jechać natychmiast; zaczął nawet szukać kupca na swój domek z ogródkiem. Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpiętszej kampanji. Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i oddał chodzili sobie we czterech. Chcąc pijać razem czarną kawę w polskiej kawiarence, musieli razem jadać obiad w jednej restauracji. Potem każdy mógł iść, dokąd go oczy poniosą. Ponieważ jednak trafiali się spóźnieniami, więc dla porządku, pilnowali się wzajemnie i — cały dzień chodzili razem, czasami po dwóch, czasem gęsio, a zwykle rzędem.

Głównym zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampanjach i o polityce bieżącej. W ciągu roku starzy odkryli

wazje. Zrozumiał, że człowiek czasami porwany burzą tęsknoty i niesie go jak liść, który, gdyby umiał myśleć, możeby i myślał, że wraca na swoje dawne drzewo i że znowu do niego przyrośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacenie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenty i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby odpoczął choć do lata. Ale napróżno. Starca, od chwili gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że poprosił nie mógł sobie znaleźć miejsca. W rozmowie był nieuczynny, w towarzysztwie cierpliwy. Gdy dla rozzerwania się wziął jakiś dziennik, zdawało mu się, że jest drukowany po polsku. Wszędzie na coś czekał, jakby dla chwila miał ukazać się ktoś jeszcze nieznany, ale — oddawna wyglądając. Na bulwarach, ponad tysiącami światła i gwarem mrowiskiem ludzi, widywał ciche rowiny, śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzie-niedzie małe domy ze słomianymi dachami, albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wioził z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i — samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem

elektrycznej dzwonki i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary „zajzad”, ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jakotako, pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i kazał obwozić się po wszystkich znanych niegdyś ulicach. Niepojęte zmiany... Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane, słupy latarniowe, znikły dworci i rozległe ogrody, a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawet tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczki, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale — jakieś inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów, ani z fizjonomji. Co dziwniejsza, chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczył pustkę jeszcze większą, niż we Francji, i postanowił wejść w towarzystwo ludzi.

Miał tu znajomych między różnymi osobami, które spotykał w Paryżu, albo u wód.

Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego szwajcara o wyszukanie adresów. Na drugi dzień przyniesiono

może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista.

Wieć i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był kontent, mogąc przypatrzeć się ludziom.

Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o pici pięknej, w czwartym o polityce, a mianowicie o tem, że nas Niemcy nieodwołalnie zjedzą.

Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał niedługo. Przechodząc od kwestji do kwestji, usłyszał wkońcu, że realna polityka powinna traktować wojnę jak interes przemysłowy i że tylko taki szarlatan, jak Napoleon III, mógł wojować za cudze sprawy, dla idei.

To samo niejednokrotnie słyszał we Francji — pocóż więc ją opuścić?...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka, począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz, że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni kamraci. Gdy zaś ocknął się, szeptał:

— Poczem ja tu wróci?... I uczył tęsknotę do Francji

Na drugi dzień przypadała niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli, namyślając się, kiedy wracać do Francji: dziś czy jutro? Tu był już obcy dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał numer na dole. Gdy około dziesiątej podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem chodzą, tam i napowrót, jakiś ubogo odziany człowiek z małym chłopcem.

Był silny mroź, więc ubogi człowiek, dla rozgrzania się, tupił nogami w chodnik, uderzał się w ramiona, albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce dziecka, które miało nieco przylgłego surduta, słomiany kapelusz, nieobarty nos i uszy podwiązane brudną chustką.

Ponieważ chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spytał kelnera, co za jeden jest ten człowiek.

Kelner uśmiechnął się i odparł:

— To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

— Mnie pokazać? A skądże on wie, kto ja jestem?...

— Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem, albo rozcierał zmarzłe rączyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc śpieszniej i zaciekawiony, wyszedł na podwórze.

Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął, jak wrty. Wykręcił czapkę z nabakier, zmarszczył brwi, wyprężył się i zacinął pięści, co wyglądało tak jak gdyby chciał rzucić się na pułkownika, ale według jego pojęć znaczyło to oddanie honorów.

Ponieważ jego syn chuchał sobie przez ten czas w ręce, więc, dla rozbudzenia uwagi, uderzył chłopca pięścią w kark, a sam wciąż patrzył na starca jak na wilka, myśląc że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety.

Starzec zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów, a prztem — było na podwórzu trochę ludzi. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy, i pułkownik zwolna poszedł w stronę ulicy.

Wtedy szewc odczekał się do dziecka:

— Wojuś!...

— Abo co?

— Będziesz, hycu, taki?...

— Co nie mam być, oj! oj!...

— odpardo dziecko z zawałanym nosem.

— Pamiętaj, żebyś był, bobym ci zęby powybijał, choć urośniesz!

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale jadł niewiele, bo śpieszył się. Potem wybiegł do miasta i wkrótce — wynajął sobie prywatne mieszkanko.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go nie raził. A gdy wypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spozryał na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont, jak niegdyś, takie same lasy, i uczył ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

„Zostanę tu!” — pomyślał

BOLESŁAW PRUS.

STEFAN ŻEROMSKI.

Propaganda radjowa w Niemczech

Korzystając z bogatego doświadczenia, jakie zdobyła reklama handlowa, — rodzona siostra propagandy politycznej, — Niemcy ustalili nową i dla wielu osób, nie pracujących zawodowo w reklamie, wręcz rewolucyjną hierarchię „ważności” poszczególnych narzędzi propagandowych.

Ustalili mianowicie, że podstawowym, głównym narzędziem będzie *żywe słowo*, ten najdawniejszy i najlepszy środek przekonywania.

Stało się to dlatego, że żywe słowo, odsumiuto w cień przez wynalazek Gutenberga, nabrało od kilkunastu lat wyjątkowej mocy i blasku, dzięki wynalazieniu radia i powstania radjofonji.

Pierwsza publiczna stacja radjofoniczna rozpoczęła swoją działalność w Belgii, w czerwcu 1914 r. Wojna przerwała rozwój radjofonji w Europie — natomiast rozwijała się ona swobodnie i niesłychanie szybko w Stanach Zjednoczonych.

Amerycanie przedwzrostem wyzyskali radio do propagandy handlowej i politycznej. Dlatego w Stanach niema „abonentów radjowych”, każdy człowiek ma prawo słuchania każdej stacji radjowej. Towarzystwa radjofoniczne utrzymują się i czerpią wielkie dochody ze sprzedaży czasu na swych antenach w celu nadawania audycji reklamowych firm lub audycji propagandowych stronnictw politycznych, sekt religijnych, różnych towarzystw i t.p. I wszyscy płacą — nawet Prezydent Roosevelt gdy przemawiał jako „kandydat na Prezydenta”.

Inaczej kształtował się rozwój radjofonji europejskiej, gdzie spowodo wojny 1914—1918 powstanie jej zostało opóźnione i przypada na lata 1919 i 1920. Europejczycy nie zorientowali się od razu w znaczeniu radia, które umożliwiło renesans żywego słowa.

Rządy poszczególnych państw, a — co jest zabawne — najbardziej rząd niemiecki, sprzeciwiali się budowie radjostacji, uważając naogół, że radio jest czymś w rodzaju rozrywki z lunaparku. Na palcach można było zliczyć europejskich uczonych (oczywiście, nie o technice mowa), profesorów, publicystów, literatów, dziennikarzy i innych przedstawicieli myśli kulturalnej, którzy od razu dostrzegli znaczenie radjofonji i przewrócił jąki wywoła przez nawrót do żywego słowa, usunięto w cień przez wynalazek druku.

Nie zdawano sobie sprawy z roli, jaką radio odegra w kształtowaniu się umysłów, nastrojów, w zamiłowaniu i zainteresowaniu szerokiego mas.

Niestety nawet pewnego rodzaju snobizm „niesłuchania radia” i nieinteresowania się nim. A tymczasem radjofonia publiczna rozwijała się błyskawicznie, stając się nieuchronnie i nieuniknionym kompleksem zagadnień i wkraczając do wszelkich dziedzin życia jednostki i zbiorowości.

Niemcy to zrozumieć.

Logicznym następstwem przyznania żywu słowu pierwszego miejsca, było położenie przez Niemców wielkiego nacisku na radjofonję i na sieć agentów, sterowanych w swej pracy pisaniami instrukcjami, wydawnictwami i przemówieniami oficjalnymi, nadawanymi przez radio. Agent propagandowy ma za zadanie przekonywać tych wszystkich, z którymi się styka: musi więc mówić a nie pisać. Przeważnie jednak operuje słowem żywym — to metoda skuteczniejsza, tańsza i dyskretniejsza. Nie nie dorówna szybkością wiadomości podanej z ust do ust.

Ciekawe było poczynania Partii Narodowo-Socjalistycznej w dziedzinie radia w czasie wojny. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

Stworzyli więc, znacznie przed dojściem Hitlera do władzy, specjalną partijną organizację radjową, której członkowie byli szkoleni w tajnikach pracy radjowej (technika, organizowanie programu i znajomość mikrofonu). Mieli oni za zadanie zdublować w odpowiedniej chwili przepowiednie przez szturmowi oddziały zdobytych rozgłośni.

Rzecz ciekawa: organizacja ta nie rozprzeczła stacji nadawczą, nie miała również rozgłośni. Personal szkolono na mikrofonach wewnętrznych. Posiadała natomiast odbiorniki, wzmacniacze i megafony uliczne, przeznaczone do ustawiania na placach oraz w salach publicznych po to być może natychmiast publicznie nadawać audycje, zrobione przez tych z ekipy, którzy już opowiadali rozgłośnie. Solidna i dokładna robota popłaca.

W dniach przewrotu w Berlinie, radio — natychmiast oprowadane — załatwiło doskonale całe Niemcy strumieniem „entuzjasmu”. Trzecie się głośniki od „Heil’ów. Brutalność rozgorączkowanej ulicy wtargnęła do zacisza mieszkań i sparaliżowała wolę oporu. To samo powtórzyło się w Wiedniu, z tą różnicą, że „entuzjazm” ulicy, wtającej oddziały niemieckie, nadawany był na Wiedeń z Innsbrucku i z Linzu. A wiedeńscy myśliciele, że narodowi socjaliści już są w Wiedniu. Byli, ale na antenie wiedeńskiej stacji... Naprawdę przyszli dopiero w parę godzin potem. Z

W „Myśli Polskiej” z dn. 1 lipca, organie koł zbliżonych do Stronnictwa Narodowego, ukazały się bardzo słuszne uwagi „Metody kadzenia”, podpisane S. Przedrukujemy je niżej w całości.

Wiem, że plecie na tym — naszym świecie... Ileż to słyszymy obietnic solennych, że Polska jutra będzie zupełnie inna od Polski dnia wczorajszego, ileż hasel gromkich, że „sanacja” zlikwidowana być musi bezpowrotnie — a jednak... gdy się rozejrzemy w tem co się dokona nas dzieje, zobaczymy, jak się to nieraz wbrew oczekiwaniom tym i hasłom — sfery dawnego reżimu — stawa na nogi i powierza im stanowiska odpowiedzialne i wpływowo. Ludzie się dzwina, nie nie rozumieją, ludzie się zniechęcają, rozgoryczają.

O tem jednak tylko wspominając, przejdźmy do innej strony „kontaktu” dzisiejszego naszego życia politycznego, a raczej odnośnych jego elementów na terenie anglijskim z przeszłością „sanacyjną”. Mammy na myśli dziedzinę, nieszczęśliwą — moralną. Trzeba mieć odwagę powiedzieć, że stwierdzenie głośno i zło przeciwstawić się stanowczo i bez zwłoki, jego bowiem rozpowszechnianie byłoby dla sprawy wysoce szkodliwe, wprowadzając w naszą atmosferę publiczną elementy rozstroju i głębokiego rozdzwieku.

Mamy na myśli metody kadzenia, często z pobudek chęci zaskarżenia sobie względów i lask odnośnych czynników. Metody te, tak niebotycznie wybujały w okresie rządów „sanacyjnych”, zaczynają się przyjmować w pewnych tutejszych naszych kołach po-

przykładów tych wynika, że radio może być potężną bronią — tylko trzeba umieć nim manipulować, co wcale nie jest łatwe.

Znając dobrze psychologię narodu niemieckiego, narodowi socjaliści — prowadzący „Blitzkrieg” propagandowy o władanie duszą tego narodu — postarali się o zwiększenie sugestywności żywego słowa przez organizowanie odpowiedniej inscenizacji wszelkich zebrań i manifestacji publicznych. Tysiące łopocących flag, trybuny, mundury, światło reflektorów i przerażająca ogromem masówka. Tysiące karnie w rzędach poustawianych ludzi, podających się atmosferze i stwarzających atmosferę, w miarę jak Hitler lub inny, zawsze doskonały, mowca namierza peroruje. Każdy publicznie przemawiający „towarzysz partyni” — nawet sam Hitler — przechodził najpierw szkolenie w arkanach przemawiania z trybuny, a więc publicznie na widoku wszystkich. A szkolili się dlatego, że na trybunie stały mikrofony, chwytające każde słowo, nawet cicho powiedziane, i podawały je do głośników, ustawionych na placu, i do stacji nadawczych.

Mussolini i wielu innych ludzi, przemawiających publicznie ale do mikrofonu, nie rozumie, że nie należy wówczas ulegać wrażeniu, że nabo by być słyszany, trzeba wrzeszczeć. Wrzask przed mikrofonem ma jeden tylko skutek: „przekrzywienie” tego instrumentu i nieartykułowany ryk w głośnikach. Hitler choć wydaje się nam, że wrzeszczy, w rzeczywistości natęży tylko głos, tyle ile trzeba, żeby osiągnąć efekt oratorski, a nigdy prawie nie „zamazuje” słów. Każde dociera do słuchacza.

Mikrofony chwytają jednak nie tylko słowa mówcy — chwytają również reakcję audytorium i panujący nastrój. Toteż gdy słuchamy w zaciszu domowym transmisji z życia, bierzemy poniekąd w niej udział. Nastrój się udziela. Z norymberskich „dni partyjnych” była groza, czuć było się — jak to określił pewien polski radjostłuchacz w liście pisanym do Polskiego Radia: „siłę nieczystą — szatańską”; słuchacz ten nie rozumiał języka niemieckiego... wycofał jednak nastrój. Taki nastrój działa sugestywnie, ten bardziej że Hitler świadomie gra na uczuciach i rozbujała instynkty, zamiast przekonywać rozumowo. Na tem polega potęga żywego słowa.

Tego rodzaju publiczne wystąpienia Hitlera, w których — dzięki radia — brało udział duchowo kilkanaście milionów Niemców, musiały być doniosłe w skutkach. Następuje bowiem jednoczesna koncentracja na osobie mówcy, myśli milionów mózgów. W ten sposób stwarza się zamknięty obwód prądów myślowych i wyzwala olbrzymie siły psychiczne, kierowane równocześnie w jednym kierunku. Nie wpadną w przesadę, jeśli powiem, że bez radia Hitler byłby jeszcze dziś w trakcie walczenia o wpływy w Niemczech.

Radio w Niemczech jest wyzyskane maksymalnie i na wszystkie sposoby. Wiele lat zabiegów stworzyło potęgę radjofonji niemieckiej, wzbogaconej przez zajęcie stacji zaborczych sąsiadów. Fale niemieckie docierają do każdego zakątka kuli ziemskiej, żywe słowo działa nadal, wiąże rozproszonych po świecie Niemców, z „Vaterland”em, dodaje im otuchy, poucza co robić, aby się przysłużyć sprawie niemieckiej.

Działając na naród głównie przez radio, Hitler wyzyskał potęgę żywego słowa i wprowadził Niemców w stan gorączki. Propaganda, umiejętnie prowadzona, wyzyskała

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem. W Niemczech, gdzie radio było w rękach państwa, nie było tajemnic, co miało być jego zadaniem.

Wydawnictwo „Wiadomości Polskich” poszukuje książki

JÓZEFA RETINGERA

„POLACY W CYWILIZACJACH OBCYCH”

złożenia: 36, Great Russell St., London, W.C.1

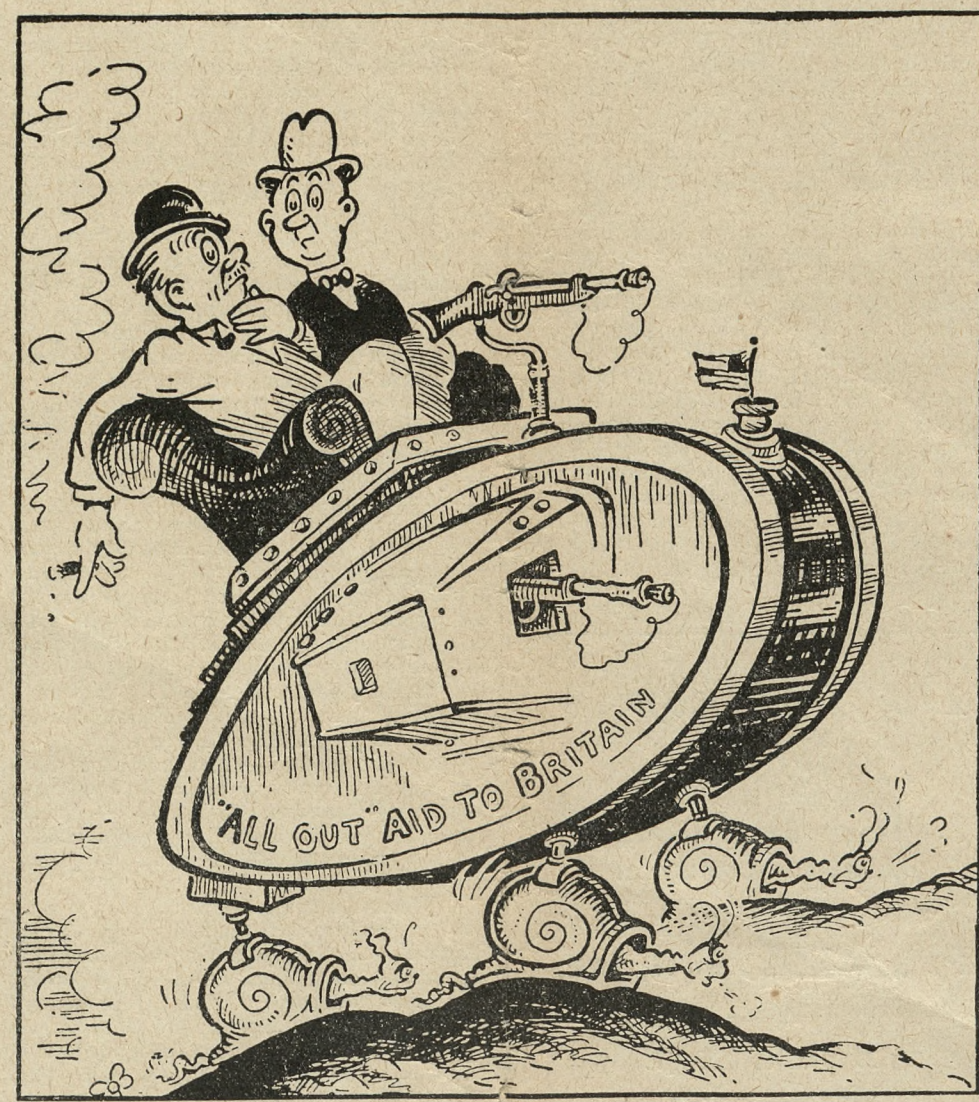
ROZMAITOŚCI

„Dlaczego zwolenników polityki ustępstwa wobec dyktatorów nazywa się strusiemi? Strusie przecież grzebią tylko swe głowy, tamci — swe państwa” (publicysta amerykański Walter Winchell).

Krają pogłoski, że jedna z wybitnych filmowych w Hollywood zamierza sfilmować

wał się opustoszałym domem na Kensingtonie i odkrył, że należał on do baronowej de Rosen, drugiej żony Paderewskiego, która zmarła w r. 1934.

Dom baronowej jest prawie pusty; znajduje się tam jedynie trochę mebli, reprodukcja obrazu Reynoldsa „Tragiczna Muza” oraz paczka katalogów filatelistycznych...



(„P.M.”, Nowy Jork)

— Czasami się zastanawiam, czy nie należałoby zastąpić ślimaków żółtymi?

„Kapitał” Marxa w celu uczczenia nowego sprzymierzenia demokracji. Główne role grać będą bracia Marx.

Z okazji podpisania sojuszu angielsko-

Pewien uczone amerykański odwiedził w Neapolu Benedetta Croce gdy ten robił korektę swojej ostatniej książki „Historia jako dzieło wolności”. Amerykanin mówił z Crocem na temat sytuacji europejskiej i

nie jest tak twarde i ponure jak w Niemczech.

— Tak, — odpowiedział Croce — jest tu trochę lepiej. W Niemczech mieli złudzenia i stracili je. My nie mieliśmy złudzeń.

Almanach „The International Who's Who” podaje w ostatnim wydaniu adres Sir Oswalda Mosleya: więzienie w Brixton.

W kołach fachowych mówią, że palimy więcej papierosów, gdyż palimy mniej... dobrego tytoniu. Jakoby papierosów ulega pogorszeniu, dają nam one mniejsze zadowolenie i nie zaspokajają „głodu nikotynowego”. W konsekwencji ledwo zgarniamy papierosa, już mamy ochotę na następnego.

W normalnych czasach przeszłaby prawdopodobnie bez uwagi wiadomość, że na pewnym przedmieściu Londynu jedna kura zniosła w ciągu dnia sześć jajek. Pięć z nich było normalnej wielkości, szóste nieco mniejsze. Podobno minister aprowizacji Lord Woolton zamierza wystosować do tej kury list z podziękowaniem.

Jedyny poseł komunistyczny w parlamencie brytyjskim Gallacher zjawiał się świeżo w Lbzie z „porozumowym goździkiem w butonierce. Wielu posłów uznało to za dowód taktu i złożyło Gallacherowi powitowanie.

Obecna wojna, gdy ją porównać z poprzednią, sprawia istotnie wrażenie błyskawicznej. Napoleoński „blitz”, jeśli uwzględnić ówczesne środki lokomocji, był jednak znacznie bardziej piorunujący. W r. 1812 marsz z Wilna do Moskwy zajęł Napoleonowi niespełna dwa miesiące.

Rozgłoszenia w Madrycie złożyła hold pamięci pierwszego hiszpańskiego „ochotnika na wyprawę krzyżową” przeciw Moskwie: „Został on napadnięty w drodze do Walencji, gdzie miał się przyłączyć do korpusu ekspedycyjnego, i zginął na miejscu”.

Amerkańscy korespondenci w Londynie nie bez racji skarżyli się na cenzurę brytyjską. Świeżo jednak znaleźli się w dość głupiej sytuacji: władze brytyjskie zezwoliły im na wyjazd na Islandię, ale amerykańskie złożyły veto.

„Europejczyce nigdy nie rozumieją kochaącego pokój serca Japończyka” (przedstawiciel japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych).

Czytelnicy amerykańskiego tygodnika „Common Sense” skarżyli się, że londyński korespondent tego tygodnika „siedzi w poetyckiej wieży z kosi słoniewej”. W tym samym czasie redaktor „Common Sense” otrzymał list od korespondenta, który donosił, że z listy katedry św. Pawła obserwuje naloży na Londyn.

Pisząc o sprawie Hessa, nowojorski dziennik komunistyczny „Daily Worker” wypowiedział stosunkowo niedawno pogląd, że „niema istotnej różnicy między kilkoma rządowymi Berlinu, Londynu i Wall Street”.

Podobno od tego czasu redaktor zauważył już pewną różnicę.

„Wieczny pakt przyjaźni między Rosją a Niemcami trwał dwa lata. Jak długo trwać będzie tysiącletnie wielkich Niemiec, przyręczone przez Hitlera?” (E. E. Sinclair).

ALFA.

Godnie i mocno

Dn. 16 lipca b.r. na święcie lotnictwa gen. Sikorski wygłosił przemówienie, w którym m.in. oświadczył:

Praę szczerze porozumienia z Rosją — pomimo doznanych w ostatnich czasach przez Polskę ze strony Rosji krzywd i pomimo stu pięćdziesięciu lat głębokiego zatargu — lecz porozumienia rzetelnego, a nie takiego, który naruszałoby granice i suwerenność państwa polskiego i któreby podawało w wątpliwość dążenia sprzymierzonych, walczących o najświętsze zasady prawa i chrześcijaństwa.

Wielka Brytania, Sowiety, Polska

Dezorientacja angielskiej opinii publicznej wobec układu brytyjsko-sowieckiego jest nadal duża. Jest ona szczególnie wyraźna wszędzie tam, gdzie wylania się zagadnienie stosunków polsko-sowieckich. Poniżej podajemy trzy przykłady rozbieżnych poglądów brytyjskich, które są charakterystyczne dla panujących nastrojów.

Jeden z socjalistów polskich napisał do tygodnika „Tribune” (reprezentującego bardziej radykalne elementy Labour Party) list, w którym podkreśla, że to Sowiety zerwały stosunki dyplomatyczne z Polską. Dn. 17 września 1939 p. Potiomkin w imieniu rządu sowieckiego wręczył ambasadorowi Rzeczypospolitej w Moskwie notę, w której znalazło się m.in. twierdzenie, że „Warszawa została by stolicą Polski” oraz że „w rzeczywistości państwo polskie i rząd przestały istnieć”. Autor listu podkreśla, że mamy prawo oczekiwać, iż rząd sowiecki uświadomi te notę i uzna także istnienie niepodległej Belgii, Jugosławii, Norwegii i innych państw okupowanych przez Niemcy.

Zachodnią granicę Sowiec — pisze dalej polski socjalista — ustalił traktat ryski, i zatwierdziła ją Konferencja Ambasadorów. Nowe decyzje w tej sprawie nie są potrzebne. Wreszcie autor listu wysuwa żądanie zwolnienia polskich jeńców wojennych, więźniów politycznych oraz poprawę losu deportowanych Polaków, Żydów i Ukraińców.

List ten redakcja „Tribune” zaopatrzyła w komentarz, który nie wymaga komentarzy: „Oto piękny przykład trudnych zagadnień, jakie są przedmiotem dyskusji, i piękny przykład jak je jeszcze bardziej komplikować. Nasz towarzysz widzi bardzo wyraźnie błędy Rosjan, lecz równocześnie potrafi napisać, że nowa decyzja jest niepotrzebna” w sprawie wschodniej granicy Polski. Ta granica została wytyczona w wyniku wojny spowodowanej polskim najazdem na Rosję, podczas którego Polakowie ocalili od klęski interwencji francuskiej. W obrębie Polski znalazły się rozległe obszary zamieszkałe przez ludność nie-polską, a nawet część Litwy zagarnięta przez gen. Żeligowskiego podczas wyprawy przypominającej metody bandyckie. Granica ta biegnie daleko na wschód od „linii Czuczona”, którą antyrosyjski rząd Wielkiej Brytanji uznał za sprawiedliwą. Polacy nie mogą osiągnąć załatwienia sprawy w oparciu na zasadzie „okazie skrusze za wasze grzechy a my nie okazyjemy skruszy za nasze”.

Kalkiem inne stanowisko zajmuje dziekan katedry św. Pawła dr. W. R. Matthews. Na łamach „Sunday Dispatch” pisze on co

następuje: „Miesiąc temu urzędowe radio rosyjskie i sowieckie agencje prasowe mówiły o brytyjskich podżegaczach wojennych: ogłaszali one komunikaty niemieckie, ale nie ogłaszały naszych. Gdy Polska walczyła o swe istnienie, Rosja zaatakowała ją od tyłu, łamiąc traktat. Jak daleko się to jeszcze posunęło? Nikt nie może odpowiedzieć, gdyż wszystko to stało się bardziej niż bezcelowe. Nadeszła bowiem chwila, kiedy żadna ugodą nie była już możliwa prosto dlatego że Niemcy nie żądali”.

Wreszcie trzeci ciekawy głos angielski. „Spectator” ukazał się list A. M. Whitfielda, który wprawdzie nie wspomina o Polsce, lecz zajmując wobec Rosji następujące stanowisko: „... usprawiedliwia się rosyjski napad na Finlandię i na inne państwa tem, że Sowiety w rzeczywistości atakowały nie Finlandię ale Niemcy. Rosjanom mogło się wydawać, że jest to dostateczny powód, lecz trudno oczekiwać, żeby Finowie tak samo się na to zapatrywali. Podobnie Hitler mógłby teraz powiedzieć, że w istocie nie atakuje Rosji lecz Wielką Brytanię. Musi za wszelką cenę uzyskać zasoby Rosji celem obrony przed blokadą brytyjską. Nie zaatakowałby Rosjan gdyby był rozsądny i zrozumiał to. Dlatego w istocie winna jest Wielka Brytania”.

Rozumowanie takie — ciągnie dalej p. Whitfield — jest naciągane. „Któż bowiem ma być ostatecznym sędzią co stanowi usprawiedliwioną agresję a co nie? Jedyną nadzieją utrzymania jakiegolś ład między narodowego i porządku prawnego jest niedwuznaczne potępienie wszelkich aktów agresji”.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (71) „Wiadomości Polskich” (6 ilustracji) „Oskar Halecki: Trzy pomniki ustroju staropolskiego. — Antoni Słonimski: Heksamer na wojnie niemiecko-rosyjskiej. — Jan Lechoń: Bajka o jednym chłopcu i o jednym lotniku. — Jan Stachońcy: Przyczyny nędzy gospodarczej Polski. — Arkady Fiedler: Koleżeństwo. Z cyklu „Dziwizjon 303”.

— Marcin Odrowąż: Wspomnienie z Belgradu. — Krzysztof Nienaski: Wielkość prostego człowieka. — Adam Romer: Rehabilitacja króla Leopolda. — Zbigniew Grabowski: Jeszcze raz Francja. — O Sowieciach w czasopiśmie angielskim. — Trzy głosy o Mickiewiczu. — Alfa: Rozmaitości. — Korespondencja. — Czechosłowacy Polse. — Skarbnica Polska. — Kazimierz Tetmajer: Ze Składowa Podhala: Jak Jasiak z Ustupu, Hanusia od Królów i Marta Ucherzykówna z Liptowa śpiewali w jedno słoneczne rano ku sobie. Za sytko. — Mikołaj Biernacki (Rodo): Utwory satyryczne: Czy sąsiad czasem czyta? Dukat. Ma się rozumieć. Skarga. Ten... tego... To zupełnie inna kwestja. Beztrosność polityczna.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2; Published every Wednesday at 36, Great Russell Street, London, W.C.1.

M. I. Kolin, Publishers, 9, New Oxford St., London, W.C.1; 98, King Edward St., Perth

Wielka PODRÓŻ

cena 4/6 (w opr.)

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ

Wielka PODRÓŻ